

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ

Józef Kraszewski

Stara baśń

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843498

Stara baśń:

Аннотация

IX wiek, dzieje plemienia Polan. Władzę nad plemieniem sprawuje okrutny kneź Popiel, zwany Chwostkiem, oraz Niemka, jego małżonka Brunhilda. Ludzie buntują się przeciwko jego rządowi, co prowadzi do wojny domowej. Stara baśń nawiązuje do wielu podań dotyczących Polski przed 966 rokiem. Ukazuje historie osobiste – np. nieszczęśliwą miłość młodego kmiecia Domiana do pięknej Dziwy – a także przedstawia sposób życia plemienia Polan, ich obyczaje, moralność, codzienność. Stara baśń stanowi pierwszą część cyklu powieściowego *Dzieje Polski* autorstwa Józefa Ignacego Kraszewskiego. Jest jego naj słynniejszą powieścią, została wydana w 1876 roku. Józef Ignacy Kraszewski był jednym z najważniejszych – i najpłodniejszych – pisarzy XIX wieku. W ciągu 57 lat swojej działalności napisał 232 powieści, głównie o tematyce historycznej, społecznej i obyczajowej.

Содержание

Tom I	4
I	4
II	23
III	42
IV	62
V	78
VI	92
VII	115
VIII	136
IX	152
Конец ознакомительного фрагмента.	159

Józef Ignacy Kraszewski

Stara baśń

Tom I

I

Poranek wiosenny świecił nad czarną lasów ławą otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiątych pączków rozwitych. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztką wiosennej powodzi złociły się łotocie¹ jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza – tylko ptastwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słyhać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę, popatrzało czarnymi oczyma

¹ łotoc – rodzaj kaczeńca. [przypis redakcyjny]

i pierzchnęło²... Zatętniało³ za nimi – cicho znowu.

Z drugiej strony słyhać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łos rogaty – wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami – zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i z wolna poszedł w las nazad⁴... I znowu słyhać było łom⁵ gałęzi i ciężkie stąpanie.

Spod gęstych łóz⁶ zaświeciło oczów dwoje – wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy pierzchnął przelekły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznac mogło szmer brzozy z listki⁷ młodymi, drzenie osiczyny⁸ bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniejsz coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan

² *pierzchnęło* – dziś: pierzchnęło; *pierzchnąć* – uciec. [przypis edytorski]

³ *zatętniało* – dziś: zatętniło. [przypis edytorski]

⁴ *nazad* – z powrotem. [przypis redakcyjny]

⁵ *łom* – tu: łamanie. [przypis redakcyjny]

⁶ *łoz* – rodzaj krzewu z rodziny wierzbowatych; wierzbza szara. [przypis redakcyjny]

⁷ *listki* – dziś popr. forma N. lm: listkami. [przypis edytorski]

⁸ *osiczyna* – gatunek drzewa, topola osika a. topola drżąca, której liście drżą przy najmniejszym podmuchu wiatru. [przypis edytorski]

nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami jak dymy ofiarne zakipiały pary przejrzyste, ulatując z wolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków – wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki – wracało życie.

W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi niby szałas naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż było wygasłe ognisko spopielałe i kilka w nim niedopalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozdeły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię, jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szafasu pokazała się głowa cała włosami okryta długimi – zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem, rozgarniając je, wydobył się spod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długim leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się, popatrzał na niebo, potem na konie... te zobaczywszy go, z wolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie. Nic słyszać nie było prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło, tak że oczy wprost spod nich patrzyły. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się spod wąsów i brody – wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru, okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz⁹ i pętlę. Nogi miał też sukнем i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Spod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosiem okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała zręczne i silne, nie dawały wieku

⁹ guz (daw.) – guzik. [przypis edytorski]

odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęzmi i wnet spod nich wypełzło chłopię, wydobyło się zza liści – zerwało rzeško na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami¹⁰, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić; gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

– Gerda, do koni! Słońce weszło...

Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkim potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzód napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię siedzące na jednym ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mruczac coś sam do siebie.

Byłali¹¹ to poranna modlitwa?

Na ostatek konie napojone podniosły głowy i jak zadumane

¹⁰ *kułak* – pięść. [przypis redakcyjny]

¹¹ *byłali* – czasownik z partykułą -li; znaczenie: czy była, czyżby była. [przypis edytorski]

słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognął ku szałasowi. Tu już nagotowane¹² leżały sukniem i skórą poobwijane juki¹³, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlaźł jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na nim, rękami popróbował sakiew¹⁴ na grzbiecie powiązanych i konia swego pod kłodą poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny naprzeciw, rozgartując¹⁵ ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Zza gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe

¹² *nagotowany* – tu: przygotowany. [przypis redakcyjny]

¹³ *juk* – skórzany worek służący do przewożenia bagażu na grzbiecie zwierzęcia. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *sakiew* – dziś popr. D. lm od wyrazu sakwa: sakw. [przypis edytorski]

¹⁵ *rozgartować* – rozgarnąć. [przypis edytorski]

zęby w ustach na pół podziwieniem otwarty.

Podróżny tymczasem ku słońcu spoglądał i na bieg rzeki.

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwe, obrócone na wschód łbami – starszy pomyślał trochę, oczyma łaskę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębiny. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowała – ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząską ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już – brzeg drugi... Oba podróżni¹⁶ wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem, wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż, za gęstwiną coś szeleściło dziwnie... – Zwierz spłoszony – myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór, jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieś zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami jak futrem na starość odziane

¹⁶ *oba podróżni* (daw.) – dziś popr.: *obaj*. [przypis edytorski]

olbrzymy.

Jechali. Na wzgórzu... coś białało nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry... Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie dokoła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst się dał słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwilo w piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do broni ma się brać, czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiała mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując... A miotła się, jakby i ona groziła.

Konie głosami tymi podżęgnięte przyspieszyły kroku – ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słyszeć nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował, naprzód konia pędząc skoro¹⁷ – chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, spieszył za nim, pochylony na szyi swojego... Przebiegli tak staj¹⁸ kilkoro¹⁹, aż

¹⁷ *skoro* – szybko. [przypis edytorski]

¹⁸ *staja* – daw. miara długości, licząca ok. 1 km. [przypis edytorski]

¹⁹ *staj kilkoro* – dziś popr.: staj kilka. [przypis edytorski]

nie słysząc nic, nie widząc pogoni – zwolnili kroku... Starszy się dopiero obejrzał na chłopca ze zbladłą twarzą, z zaciętymi ustami, z wytrzeszczonymi oczyma przyglętego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwieźła w ciele, bo choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero, na polance, konia ściągnawszy starszy obejrzał się na strzałę i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bólu – wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

– Pioruny by w nich biły... i burze! – zawołał warcząc rudy. – Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana²⁰... Tyś ranny w nogę, Gerda?

Chłopak, z oczyma jeszcze obłąkanymi i trwogą, milcząc na nogę skaleczoną wskazywał. Rana jego głębsza była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

– No – nic to! Jedna strzała polańska²¹! – zamruczał starszy – oni ich nie zatruwają. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik niestraszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbrojni... Ale może zawołać innych, narobić wrzawy... uchodzić trzeba...

Spojrzał na słońce.

²⁰ *bałwan* – tu: posąg pogańskiego bóstwa. [przypis edytorski]

²¹ *polański* – przym. utworzony od rzecz. Polanie, nazwy plemienia słowiańskiego. [przypis edytorski]

– Trzymaj się konia, a puść go za mną... Spieszyć trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, póki nie dojedziemy do znajomych. Z południa²² na miejscu będziemy.

Chłopak milczał, starszy coś mruczał jeszcze, ku górze patrzył, konia sznurem ściągnął i poleciełi gęstwiną, nad brzegiem się ciągle trzymając, bez drogi – rzeka gościniec²³ znaczyła.

Puszcza wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz z dala na wodzie postrzegli jakby głowę ludzką z ciemnym przylgłym do niej włosiem i dwoje rąk wiosłujących około niej. Lecz gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... i wyszła znowu z głębiny... na włosach czarnych dokoła opleciony był wianek z łotoci... oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej czółno maleńkie jak łupinka ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad nim białą chustę widać było... Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenka jak wąż wsunęło się między trzciny, łozy, wiszary²⁴, których tylko wierzchy się chwiały... Kilka kaczek zerwało się przestraszonych, wyciągnęły szyje... sznurem leciały gdzieś dalej... plusnęły i padły²⁵.

Podróżni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej – dwa razy konie poili zmęczone i jechali dalej bez spoczynku –

²² z południa – dziś: po południu. [przypis edytorski]

²³ gościniec – droga. [przypis redakcyjny]

²⁴ wiszary – rodzaj rośliny; splątane zarośla. [przypis redakcyjny]

²⁵ padły – tu: przepadły, zniknęły. [przypis edytorski]

a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej. Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piaszków zalatywał oddech gorący.

Nie zmieniała się okolica – bór ciągle szumiał nad rzeką. Gdzieniegdzie w piasku między pagórkami świeciło jezioro – szerzej rozlewały się wody – to ścisnęły wśród parowu. Mieniały się²⁶ tylko drzewa, sosny i jodły, potem zielonych liści brzozy i lipy, i osiki, i dęby na pół jeszcze śpiące a głuche na wiosnę.

Gdzieniegdzie żółtawą ławą leżał piasek, to kępiasta trzęsawica²⁷, którą okrążyć musieli. Przed nimi z dala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jeleni, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzyły jeszcze ciekawie i gnały dalej, znikając im z oczu. Naówczas łomot stad spłoszonych konie straszył i pędziły żywiej, stuliwszy uszy... póki sił stało.

Gerda ciągle ręką chwycił za nogę zranioną, czuł, że mu krew ciekła, jakby ciepły sznurek wijący się aż do stopy, i w skórzanym obuwiu zbierała się u nogi, czerwonymi kroplami sącząc szparami chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liśćmi, co by krew zatamowały – nie było czasu... Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki... otarł je o końską grzywę – nie troszcząc się o to. Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca

²⁶ *mieniać się* (daw.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

²⁷ *trzęsawica* – trzęsawisko; teren bagnisty. [przypis edytorski]

do spoczynku... Lecz nierychło²⁸, nierychło zwolnili biegu.

Tu rzeka, płynąc nizinami równymi, szerzej się rozlewała wśród błot świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którym stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziora mnogie, opasane gajami... Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece. Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschnięty na znacznej przestrzeni. – Gąszcz, co go podszywały, spłonęły do szczętu, daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy z konia się zsunął, rzucił go nie patrząc i leżał na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był – piersi mu się podnosiły, a że krwawymi palcami dotknął twarzy i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrawszy to chłopak, uląkł się i krzyknął.

– Co ci to, Gerda? Czyś ty mężczyzna? Czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

– Nie o moją mi strach – rzekł – choć skórznie²⁹ mam jej pełne, ale o waszą. Twarz, ojciec, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, rozśmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem, na ziemi siadłszy, nogę ranną rozruła i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą.

²⁸ *rychło* – szybko. [przypis edytorski]

²⁹ *skórznie* – daw. obuwie skórzane. [przypis edytorski]

Stary patrzył na to obojętnym okiem.

W milczeniu dobyli potem z sakiew suszone mięso i placki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykładem zwałół się też do wody... Siedli jeść w milczeniu... Konie na chudej trawie leniwie się pały...

Z lasu wyleciała sroka... uwiesiła się na suchej gałęzi nad głową starego, pochyliła ku niemu i krzyczała... Zdawała się zagniewana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej... wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie... Nadciągnęła w pomoc wtóra³⁰ i trzecia... i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadły się przy nich... Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony, łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej, zerwały się z krzykiem... zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi... Gerda z głową zwieszoną, na rękach wsparty, nad końmi czuwał. Las milczał – niebo było czyste – owad tylko, wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku na konie siedli znowu... Stary się do chłopca zwrócił.

– O strzałach, o krwi, o niczym ani słowa tam... Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał... Niemcami oni nas tam zowią – choć my ich język rozumiemy... Słuchaj, co gadać będą, zda się to zawsze – ale udawaj, że ci ta mowa obca... Tak lepiej – milczeć.

Spojrzał nań czekając, by mu Gerda oczyma odpowiedział.

³⁰ wtóry – drugi. [przypis edytorski]

Jechali dalej a dalej. Słońce już się z wolna spuszczać zaczynało ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgotniejsze otaczało ich powietrze – cień zalegał boru ściany – gdy w dali, nad zaroślami, pokazał się słup dymu siny...

Stary zobaczywszy go drgnął z radości czy niepokoju – chłopak też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

Dokoła się las rozlegał³¹ stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwiężała, płynącą ścieśnionym korytem. – W prawo otwarła się łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałup z drzewa i chrustu, opasanych tynami³² wysokimi – dobywał się ów słup siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznac można było.

U brzegu, podniesionego trochę, rzeki stały w prostokąt szczelnie zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów³³ wypłukana, od słońca zwapniała czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałami dartymi drzewa, wiszarem³⁴ i gałęzmi – ściany w słupy z chrustu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb³⁵ zbudowana wznosiła się chałupa-

³¹ *rozlegać się* – tu: rozciągać się. [przypis edytorski]

³² *tyna* a. *tyn* (daw.) – ogrodzenie drewniane, z gałęzi a. belek. [przypis edytorski]

³³ *od deszczów wypłukana* – dziś: przez deszcze wypłukana. [przypis edytorski]

³⁴ *wiszar* – kożuch roślin (czyli pło), trzciny i paproci, porastających torfowisko położone na stromym zboczu; torfowisko wiszące. [przypis edytorski]

³⁵ *w zrąb* – daw. technika wznoszenia zabudowań polegająca na wypełnianiu drzewem lub innymi materiałami ustawionego uprzednio szkieletu z potężnych belek.

dwór, do której szopy wkoło przytykały, z nią razem obejście tworząc, w środku którego małe znajdowało się podwórze.

Dojeżdżając, rudy podróżny zwolnił koniowi biegu – oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbląkanym tu od wieków kamieniu, ujrzał siedzącego starca, który niepostrzeżony od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda piersi mu osłaniała. Białe wysokie trzymał w ręku. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby, ni broni. U nóg jego dwa psy leżały do wilków podobne – zacajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodące za podróżnymi... Drgały leżąc... i czekając, kiedy się rzucą.

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała, ze skórą jakby spękaną, tak ją fałdy i marszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwymi dwa krzaki bujnych brwi sterczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było spod koszuli, jak twarz pokrajaną, brunatną – niby węże sine oplatały żyły pod skórą nabrzmiące.

W chwili gdy podróżny starca zobaczył, ten właśnie na psy zawołał groźnie, ręką im wskazując w tył, za siebie, a kij podnosząc do góry. Podróżni stanęli... rozglądając się ciekawie.

– Pokłon wam, stary Wiszu... – rzekł z konia nie zsiadając podróżny, uchyliwszy tylko głowę. – Pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, bo by nas porozdzierały, a my starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi – a nie wrogowie.

Słowa te powoli wyrzekł starszy łamaną mową Serbów nadłabańskich – usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzył, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźnie, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczerzyły patrząc na przybyszów i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić. – Gospodarz huknął w dłoń... Na głos ten zza tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który rozkaz zrozumiałwszy psy zawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota... Słysząc je było szczekające i wyjące w szopie.

– Zdrów bywaj, Hengo. Cóżecie to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? – rzekł gospodarz.

Rudy powoli z konia zląwszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał – zbliżał się z wolna do starego.

– Ha! po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć, jak tam gdzie ludzie żyją – począł mówić – przy tym też jakaś zamiana robi się może. Lepiej w spokoju mieniać³⁶ czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojnie, a z życiem razem wydzierać. Ja – wy wiecie – człowiek spokojny, zaopatruję komu czego trzeba... aby żyć...

Stary się czegoś zadumał.

³⁶ *mieniać* (daw.) – zamieniać. [przypis edytorski]

– Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie zwykli bardzo do rzeczy, które wozicie, swoim się radzi obchodzić... Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzał stary na ziemię i znowu się w sobie zadumał.

– Zda się to przecie, co ja wożę – mówił powoli Hengo. – A skąd byście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili... Do Winedy³⁷ daleko...

– Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć – rzekł stary Wisz wzdychając. – Był czas, że się ludzie tym obchodzili i dobrze im z tym było... Jakeście wy a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarenek świecących na szyję i iglic gładkich, i guzów, i wszystkich tych zabawek... bez których teraz żadna nie stąpi. Nic by to nie było – ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię niż na przybyłego kupca – ale wy... wy dróg się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... i tak samo przyjść może napaść, jak przyszły świecidła.

Hengo po kryjomu błyskiem oczu bystrym zmierzył starego Wisza i rozśmiał się.

– Próżna to obawa – rzekł. – Nikt o napaściach nie myśli... Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz... Żonę miałem z waszej krwi, serbską córkę... a z niej oto tego chłopca, który choć języka waszego nie umie –

³⁷ *Wineda* – na pół legendarne słowiańskie miasto u ujścia Odry, mające być ważnym ośrodkiem handlowym. [przypis edytorski]

przecie w nim trocha tamtej krwi zostało.

Wisz, który na kamieniu siadł, a na leżący naprzeciw drugi wskazał Hendze – pokiwał tylko głową.

– Żonę mieliście Serbkę znad Łaby – odezwał się – mówiliście mi o tym. Ale jakeście do niej przyszli³⁸? Hę? Pewnie nie po jej woli?

Roześmiał się Hengo.

– Starzy jesteście – odparł – wam tego mówić nie trzeba. A gdzie to na świecie niewiast się o ich wolę pytają? Gdzie się inaczej żonę bierze jak ręką zbrojną? Tak jest u was, u nas i na całym świecie... Bo one woli nie mają.

– Nie wszędzie – wtrącił stary. – Młodym woli nie dają, a stare u nas szanują. Choć im rozumu odmawiają, przecie duchy przez nie mówią i wiedzą one więcej niż wy... te – więdźmy³⁹ nasze...

Potrząsnął głową; milczeli chwilę.

– Na noc was o gościnę proszę – odezwał się Hengo. – Co mam z sobą w węzełkach, pokażę... Zechcecie co wziąć? dobrze – a nie będzie zgody? nie pogniewamy się o to.

– O gościnę prosić nie trzeba – zawołał Wisz wstając. – Kto raz spał pod dachem naszym, zawsze ma pod nim spocząć prawo. My wam radzi. Kołacz⁴⁰ i piwo, i mięso się znajdzie; baby strawę

³⁸ *przyjść do czegoś* (daw.) – zdobyć coś, zyskać; tu: jakeście do niej przyszli: jak ją dostaliście. [przypis edytorski]

³⁹ *więdźma* – tu: kobieta doświadczona, znająca życie; od wiedzieć: ta, która wie. [przypis edytorski]

⁴⁰ *kołacz* – bułka pszenna, białe, delikatne, jedzone często tylko od święta pieczywo. [przypis redakcyjny]

wieczorną już warzą. Chodźcie ze mną.

Wisz wstał z kamienia i przodem go wiodąc, ku wrotom się skierował.

II

Gdy stary na kamieniu siedząc rozmawiał z przybylcem z tej ziemi, którą krajem „niemych”, języka narodu nieznaną zwano – z za tynu⁴¹ i zagród głów ciekawych zaczęło się ukazywać mnóstwo.

Rzadkością to było, ażeby w taką lasów głębinę i puszcza wnętrza docisnąć się śmiał obcy człowiek. Więc gdy się ukazali ludzie i konie nieznane, a parobczak począł psy zamykać – co żyło w zagrodzie, choć z dala i przez tynu wierzchołki, przez płotów szpary, biegło się dziwić obcemu.

Widać było białe chusty niewiast zameżnych, włosy dziewcząt z wiankami zielonymi, głowy mężczyzn z długimi włosy i postrzyżone parobków, i dziecinne oczy przełękłe spośród gęstych kudełków, którymi się im czoła jeżyły. Podnosiły się one nagle i niknęły, ukazywały i pierzchały... Stare nawet baby drząc wyglądały z za płota, a że się obcego lękały, rwały trawę i ziemię rzucając je na wiatr i pluły przed się, aby im jakiego nie rzucił czararu.

Stara Wiszyna, a imię jej było Jaga – zobaczywszy, że się wiodą ku wrotom z gościem rudym, wystąpiła, usta zakrywając fartuchem, naprzeciw mężowi, dając mu gwałtowne znaki, aby z nią pomówił na osobności. Już się do wrót zbliżali, które im otwierać miano, gdy im zastąpiła drogę.

⁴¹ tyn – płot z gałęzi a. belek. [przypis redakcyjny]

– Po co tu obcego, Niemca wiedziecie? – szepnęła wylękła. – Możnaż to wiedzieć, co on z sobą niesie? Jakie on uroki rzucić może?

– Ten ci to sam, Hengo znad Łaby, co to naszyjniki przywoził i szpilki, i noże... Przecie się nam nic nie stało... Nie ma się go co obawiać, bo kto za zyskiem goni, temu czary nie w głowie.

– Źle mówicie, stary mój – odparła Wiszowa. – Gorszi to ludzie od tych, co z nożami i maczugami napadają. Ano woła twoja, nie moja...

I szybko ustąpiła mrucząc, nie oglądając się już za siebie, aż weszła do dworu wewnątrz zagrody. A że na inne niewiasty w podwórku po kątach poprzytulane skinęła, pierzchnęły wszystkie, chowając się, gdzie która mogła. Parobków tylko kilku i dwu synów gospodarza zostało.

Hengo wszedł rozglądając się trwożliwie, choć męstwem nadrabiał.

Chłopak jego z konia nie złącząc z nim wjechał w podwórze. Ludzie wszyscy stali, patrząc na nich ciekawie i szemrząc⁴² między sobą.

Wisz prowadził do świetlicy.

Chata w zrąb na mech budowana, stara – w pośrodku się wznosiła, wyżej nad inne szopy – drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale obyczajem starym bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano⁴³. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok⁴⁴

⁴² *szemrać* – rozmawiać półgłosem, szeptać. [przypis edytorski]

⁴³ *zawierać* – tu: zamykać. [przypis edytorski]

w niej ubity gładko, posypyany był zielem świeżym, w głębi ognisko z kamieni stało, na którym nigdy ogień nie gasnął. Dym się dobywał z niego przez nieszczelny dach ku górze⁴⁵. Ściany i belki, i wszystko szkiło się od niego czarno. – Dokoła przy ścianach ławy na pniach były przymocowane... W rogu stał duży stół, a za nim dzieża⁴⁶ do mieszania chleba, białym płótnem okryta...

Nad nią wisały wianki już poschłe i wiązki różnego ziela.

Na stole, ręcznikiem szytym zasłanym, chleb też nadkrojony leżał i nóż przy nim mały. U drzwi na ławie stał ceber⁴⁷ z wodą i czerpakiem. W kącie, w głębi widać było żarna⁴⁸ małe i kilka bodni⁴⁹ chustami poosłanianych.

Niewielkie okno zasuwane wewnątrz okiennicą stało teraz otworem, tyle światła wpuszczając, ile go do rozpatrzenia się

⁴⁴ *tok* – podłoga z ubitej gliny; klepisko. [przypis edytorski]

⁴⁵ *dym się dobywał (...) przez nieszczelny dach* – jest to opis tzw. kurnej chaty. [przypis edytorski]

⁴⁶ *dzieża* – drewniane naczynie do rozczyniania mąki. [przypis redakcyjny]

⁴⁷ *ceber* – duże naczynie wykonane z drewnianych deszczulek ułożonych pionowo jedna obok drugiej i spiętych razem dookoła obręczami; w dwóch dłuższych, przeciwległych deszczułkach znajdowały się otwory, przez które przekładano drąg, dzięki czemu naczynie mogły nieść dwie osoby; w cebrach noszono najczęściej wodę. [przypis edytorski]

⁴⁸ *żarna* – przyrząd do ręcznego mielenia zboża, złożony z dwóch kamieni: dolnego, nieruchomego, często wgłębionego dla pomieszczenia ziarna oraz górnego, ruchomego, służącego do miażdżenia ziarna na mąkę. [przypis edytorski]

⁴⁹ *bodnia* – duża drewniana beczka; od jej nazwy pochodzi określenie zawodu osoby zajmującej się wyrobem takich i podobnych naczyń, bednarza. [przypis redakcyjny]

w izbie było potrzeba. Gdy Wisz i Hengo przestąpili próg, stary podał rękę gościowi i pokłonił mu się mówiąc, a zarazem wskazując.

– Oto chleb, oto woda, oto ogień i ława – jedzcie, pijcie, ogrzejcie się, spocznicie i niech dobre duchy będą z wami.

Hengo się niezgrabnie pochylił.

– Błogosławieństwo temu domowi! – odezwał się krztusząc.
– Niech go choroba omija i smutek.

To mówiąc na ławie przysiadł, a Wisz ukroiwszy chleba kawałek rozłamał go z nim i do ust podnosząc zjadł, co też i obcy uczynił.

Trwało to chwilę... gość już był uroczyście przyjęty i pozyskał prawa pewne. Niewiasty się nie ukazywały, ale że na cudzoziemca przez szpary patrzeć musiały, znać było z tego, że szepty i stłumione śmiechy dolatywały do uszu jego.

– Teraz – odezwał się Hengo po chwili – kiedyście mnie przyjęli w gościnę, póki jeszcze dzień jasny, pokażę wam, co wiozę z sobą... Niech oczy widzą, że zwodnictwa⁵⁰ nie ma... a jest popatrzeć na co!

Stary nic nie mówił, ruszył się tedy ku drzwiom; jeden z czeladzi do szopy go poprowadził, gdzie już konie z chłopcem stały.

Gerda spoczywał na drzewie siadłszy, ciekawie się rozglądając i przysłuchując... Sakwy przy nim na ziemi leżały. Hengo ujął z nich dwie i z taką siłą i zręcznością zarzucił je sobie na ramiona,

⁵⁰ *zvodnictwo* – oszustwo. [przypis edytorski]

jakby unikał pomocy obcej lub chciał się popisać ze zręcznością. Przez podwórze też, niosąc je, umyślnie zdawał się stąpać lekko i zwinnie, jakby wcale obciążony nie był. Pochyliwszy się nieco we drzwiach, wszedł do dworu i tu, przy okienku, około ławy szerokiej sznury rozplątywać począł.

Chłopcy domowi ciekawym go otoczyli kołem. Z wielką wprawą i zręcznością Niemiec sakwy otworzył, pomyślał chwilę i obejrzawszy się ku staremu, zaprosił go ku sobie.

– Ale, cóż to?... Wy sami tylko – odezwał się. – A niewiastom waszym ani nawet oczu nacieszyć nie dozwolicie? Jam już człek niemłody, mnie też ani się wstydzić, ani lękać nie macie powodu.

Wisz zawahał się nieco, potem ręką dał znak i sam podszedł ku drzwiom bocznej komory. Tu stara Jaga na straży stała, drzwi sobą zapierając, ale nie pomogły groźby jej i obawy; gdy stary gospodarz dał swobodę, niewiastki i dziewczęta tłumnie wpadły do izby. Pędziła je ciekawość, a strach hamował, i zaledwie wparły się do świetlicy wąskimi drzwiami, poczęły nazad uciekać. Pierwsza, co rudego Niemca oczy spotkała, krzyknęła i cofnęła się; za nią jak pierzchliwe stado pobiegły inne. Śmiechy, szepty i łajania Jagi razem zmieszane słyszeć się dały.

Hengo tymczasem klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego, ukradkiem ku drzwiom spoglądając. Oczy jego tam i sam ciekawie biegały, choć udawał, że tylko towarem swym jest zajęty. Lękając się i pragnąc, walcząc ze strachem i ciekawością, dziewczęta, jak woda na jeziorze, to się ode drzwi na izbę posuwały, to cofały nagle, jakby do komory nazad

uciekać chciały. Niemiec, którego bystre oczy najwięcej się trwogi, coraz mniej na pozór zważał, co się tam za nim działo, niby nie widział, niby się nie zajmował niczym, tylko towarem, który na ławie rozkładał.

A było go pod dostatek, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszczu jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy błyszczące, inne popłatane były jak łodygi kwiatów, gdy zwiędną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszane blaszkami, kółkami i dzwoneczkami. Hengo je sobie do szyi przykładął, nic nie mówiąc, a pokazując, jak się na suknie bogato i pięknie wydawały.

Jedne naszyjniki plecione były jak dziewcząt kosy⁵¹, inne gładkie, z mocnego kruszczu, szyi od pocisku i strzały bronić mogły.

Na długim sznurze cała kopa⁵² może kolców⁵³ kruszczowych wisiała, nanizanych jak obwarzanki, które na rękach noszono. Były większe i mniejsze, i takie, co wężem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły. Drugie, dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze były i grubsze. Pierścieni też miał Hengo do wyboru

⁵¹ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis redakcyjny]

⁵² *kopa* – daw. jednostka obrachunkowa, 60 sztuk (5 tuzinów). [przypis edytorski]

⁵³ *kolec* – tu: kółko; por. kolczuga: pancerz z drobnych, splecionych z sobą kółek. [przypis edytorski]

bogactwo wielkie, kowanych⁵⁴ i plecionych, wyrzynanych mądrze i ozdobnie.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki długie, noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgi, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogła.

Te gdy na ławę wykładać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu, z pochwy skórzanej wydobywszy go, podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosaćca⁵⁵, u pięści piękną rękojeścią opatrzony.

Gospodarz, w prawą go rękę ująwszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

– Lepsze to – zawołał śmiejąc się Hengo – od waszych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowieka, czy zwierzę dzikie, byle prawica silna – zmoże; a doma⁵⁶ też tym wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli, jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Hengo ostrożnie zwrócił na nie oczy. Wszystkie odziane były w bieli; przecież wśród czeladzi i służby rozeznąć było łatwo

⁵⁴ *kowany* – kuty. [przypis edytorski]

⁵⁵ *kosaciec* – irys. [przypis edytorski]

⁵⁶ *doma* – w domu. [przypis redakcyjny]

między nimi dwie hoże niewiastki⁵⁷ gospodarza i dwie córki jego w zielonych wiankach, z kosami⁵⁸ długimi. Grubszym płótnem okryta czeladź z tyłu się trzymała.

Z dwojga dziewcząt jedna, ta, która najbliżej stała, piękną była tak, że i między najcudniejszych mogła otrzymać pierwszeństwo.

Lice też miała bielsze i mniej opalone; znać może więcej siedząc za tkackimi krosnami niż po polu biegając. Biała i rumiana, z usty⁵⁹ różowymi, wielkie oczy szafirowe wlepiła z kolei w pierścienie, to w cudzoziemca, to nimi wodziła po siostrach i braciach.

Lecz wzrok się jej nie palił do tych błyskotek. Ręce trzymała na piersiach złożone, a śmielej rozglądała się niż towarzyszki. Na białej koszuli jej spływał sznur nieforemnych obłamów bursztynu, do których niebieskie i czerwone ziarna się mieszały. Na głowie ruciany wianuszek⁶⁰ świeży zieleniał wesoło. Twarze innych śmiały się dziecinnie, jej lice smutno i poważnie patrzyło. Między wszystkimi zdawała się panią.

Hengo parę razy spojrzał ku niej; dziewczę zarumienione

⁵⁷ *niewiastka* (daw.) – synowa; nazwę tę tłumaczy się tak, że była to osoba wchodząca do rodziny, o której się nic nie wiedziało. [przypis edytorski]

⁵⁸ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

⁵⁹ *usty* – dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

⁶⁰ *ruciany wianuszek* – wianuszek z ruty, rośliny o drobnych żółtych kwiatach, będącej symbolem panieństwa; *ruta* – znana jest od starożytności jako zioło lecznicze, służące także w kuchni do nacierania mięs w celu zachowania ich świeżości; daw. wiercono również, że ruta chroni przed złym urokiem. [przypis edytorski]

cofnęło się nieco; lecz wnet, odzyskawszy śmiałość, na pierwsze miejsce wróciło. Niemiec wziął nieznacznie z ławy jeden z pierścieni i na palcu go potrzymawszy przeciw oknu, wyciągnął ku dziewczynie.

– Niech to będzie mój gościniec⁶¹ za gościnę – rzekł podając go pięknej córce Wisza, która zmieszana, dumnie spoglądając cofnęła się i potrzęsła głową.

– Przyjmijcie go, on wam szczęście przyniesie – rzekł Niemiec.

Nie mówiąc nic, nie posuwając ręki dziewczyna cofnęła się powoli. Ojciec na nią spojrzał, potrzęsa⁶² głową i skryła się za inne. Hengo więc podał go drugiej siostrze, która zapłonawszy mocno rękę wyciągnęła fartuszkciem okrytą i podarek z radością przyjęła. Wnet bratowe i czeladź skupiły się około niej, aby to cudo oglądać. Szybko pobiegły z nim do komory... do matki... Słysząc było szeptanie długie, jakby gniewne... a po chwili wyszła obdarowana, w końcu fartuszka niosąc zawinięty kawałek bursztynu ciemnego. Spojrzała na ojca, który głową skinął i nic nie mówiąc, na ławie go przed Niemcem położyła.

– Weź to! – rzekł Wisz. – Nam się za gościnę podarków brać nie godzi.

Z uśmiechem Hengo zabrał bursztyn, obejrzał go i wpuścił do worka, który miał pod suknią. Nim to jednak uczynił, splunął nań nieznacznie, aby czary odpędzić.

⁶¹ *gościniec* – podarunek dawany w podzięce za gościnę. [przypis edytorski]

⁶² *potrzęsa* – dziś popr. *potrzęsła* a. *potrzęsała*. [przypis edytorski]

Wisł zamyślony stał, na kiju się oparłszy, nóż obejrzany położył i milczał posepnie... Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekierki i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że się im tych skarbów chciało – ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał – a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał... Hengo, co miał pod ręką rozłożywszy, patrzył zwycięsko po otaczających.

Niewiasty wróciły, parobczaki stały... Milczenie panowało w izbie: wtem oczy starego padły na coś leżącego wśród innych ozdób na ławie, czego znać nie widział w życiu. Był to świecący krzyż z uszkiem... Do noszenia na szyi. Błyszczał tak jakoś, że oczy wszystkich zwrócił na siebie...

– A to co jest? – zapytał stary, wskazując...

Hengo zdaje się, że dopiero teraz postrzegł, iż go wydobył, i pochwycił skwapliwie.

– A! to – zawołał zmieszany – to jest znak... Dla ludzi innej wiary niż wasza... który im szczęście przynosi...

– Namże on by nie przyniósł szczęścia? – zapytał Wisł.

Hengo zamilkł i schował go do worka... Nastąpiła znowu chwila milczenia. To schowane tak szybko godło tajemnicze obudzało ciekawość, lecz Niemiec już się z nim ukrył.

– Trudno się to oprzeć – odezwał się gospodarz. – Kiedy samo co pod dach przychodzi, a do życia pomóc może. Za dawnych czasów, ledwie u księdzów⁶³ i żupanów⁶⁴ coś podobnego widzieć

⁶³ *ksiądz* (starop.) – książę. [przypis edytorski]

było można, teraz i my kmiecie ważyć się na to musimy. Nie wyjdzie z domu dziewczka, żeby jej do wiana⁶⁵ nie dać kolców i szpilek.

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na cicho.... Wyszło ich zaraz dwu z izby. Wiesz na ławie siadł i po jednym odkładać począł, co dla siebie i swoich chciał zatrzymać – wybrał piękny miecz liściasty, siekierkę kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami... myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Wtem Hengo zdjął z ławy dwa chrześzczące naramienniki i podniósł je do góry.

– Staremu Wiszowi by się to zdało – zawołał – i przystało.

– Po co? – rzekł gospodarz. – Chyba, aby mi synowie włożyli do mogiły... Na wojnę iść już nie myślę, na to są chłopcy doroste⁶⁶ – a doma – co mi po tym?

– Rzekliście do mogiły – odezwał się Hengo. – Niech was bogowie długo chowają – ano i do grobu to wziąć nie szkodzi... Wszak ci u was zwyczajem, że na stos się ubiera i zbroi, jak takiemu bogatemu kmieciowi przystało.

Stary ręką zamachnął w powietrzu.

– Co mi tam! – rzekł. – Chcieć i brać łatwo, ale co dać za to?

⁶⁴ *župan* – naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie Zach.) komesa. [przypis redakcyjny]

⁶⁵ *wiano* – posag. [przypis redakcyjny]

⁶⁶ *chłopczy doroste* (daw. forma) – dziś: chłopcy dorośli. [przypis edytorski]

Nie bardzośmy zapaśni⁶⁷.

– Jużci choć bursztyn i skóry macie, bo wam tu do morza bliżej, a i w ziemi go tu kopiecie...

Wisz patrzył na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się też wkrótce oba⁶⁸, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk spory skór różnych, powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi, Niemiec chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczały. Wydobywał po jednym⁶⁹ bryły mułem i ziemią okryte, gdzieniegdzie jasnymi obłamy połyskujące... W tych zdawał się świecić, jakby zamknięty płyn jakiś, który steżał i zmarzł na kamień. Skóry też zwierza zabitego zimą, włosom świeciły lśniącym, a gdy Niemiec palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich sierści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął, milczący, bez słowa... Hengo odkładał, co mieć pragnął, stary głową trząsł i odrzucał... Razy kilka tak liczono skóry i to, co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano.

Wisz, to Niemiec trzęśli głową. Jeden to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi... Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielone długimi, w ciągu których umowa zerwaną się zdawała. Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczynali. Ociągano się z tym jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawartą została.

⁶⁷ *zapaśny* – posiadający zapasy czegoś; zasobny. [przypis edytorski]

⁶⁸ *oba* – dziś: obaj. [przypis edytorski]

⁶⁹ *po jednym* – dziś: po jednej. [przypis edytorski]

Wisz zgarnął licząc swój nabytek i natychmiast rozdzielać go począł, wśród powszechnych oznak radości. Ściskano go za kolana. Dwór cały odzywał się wykrzykami... Niemiec wiązał skóry i pakował bursztyny.

Pot mu ciekł z czoła, napił się wody i usiadł na ławie.

– Patrzcież no – odezwał się gospodarz. – ileśmy to wam dać musieli, a wiele⁷⁰ od was bierzemy. We dwie garście się to zmieści. Cemu wasze ma być tak drogie, a nasze tak tanie?

Hengo uśmiechać się począł.

– Naprzód – rzekł – tom ci ja niemal stawił życie⁷¹, wioząc wam tu towar do dworu. Niezdrowo to przedzierać się lasami. A to, co ja wożę, tego ziemia nie rodzi, ani ludzie robią, ale duchy po pieczarach mieszkające, które małych człowieczków mają postać... Oni aż do wnętrzości ziemi za tym kruszczem wdzierać się muszą. Taki człowiek, jak ja, wiele świata przejechać musi, zanim się do nich dostanie i cokolwiek wyprosi. Ani dzień, ani dwa, ale miesiące i lata wędrować trzeba, nim się człowiek do nich dobije.

Życie się stawi⁷² co dzień i od dzikiego zwierza, i od obcych ludzi, którzy radzi złupić podróżnego. Choć się rzeki i góry, i parowy zna, często się zbłądzi, głodem przymrze, nie dośpi... a rad, kto wyjdzie ze skórą całą. Co za dziw, że dużo wziąć potrzeba. Wam w las pójść za zwierzem, którego u was pełno, to

⁷⁰ *wiele* – tu: ile. [przypis edytorski]

⁷¹ *stawić życie* – ryzykować życie. [przypis edytorski]

⁷² *życie się stawi* – życie się ryzykuje. [przypis edytorski]

zabawka – bursztyn samo wyrzuca morze albo ziemia rodzi...

Wisz milczał słuchając. Parobcy i synowie rozstąpili się ku ognisku i w głąb świetlicy, każdy chwając tym, co otrzymał. Niewiasty szepcząc kryły się w komorze i jedna tylko córka gospodarza, piękna Dziwa, w przymkniętych drzwiach wyglądała ciekawie.

Rozmawiali powoli, słuchano ich pilnie.

– A jeśli wam tak ciężko i niebezpieczno – mówił stary – po co wędrujecie? Macie swoją chatę i pole?

Hengo brwi namarszczył.

– Dlaczego wy na łowy idziecie, choć zwierz bywa dziki? Człowiek się rodzi do swojego życia i odmienić go nie może. Nie tyle za bogactwami goni, co za dolą⁷³ swoją, która go w świat pędzi. Narody całe płynęły nieraz kędyś ze wschodu... ze starych siedzib na nowe, albo to im tam ziemi brakło? Tak i mnie duch mój włóczyć się każe.

– A dużoście już świata zjeździli? – zapytał Wisz.

Hengo się uśmiechnął.

– Tak dużo, że nie zapamiętam, z ilu rzek piłem wodę, przez wiele⁷⁴ gór wierzchołkiem się przedzierał, widziałem dwa morza... a języków, którem słyszał, nie zliczę... a ludzi różnych...

– Przecież ze wszystkich narodów naszych pono najwięcej – odezwał się stary – My, Polanie, rozmówić się możemy i z tymi,

⁷³ *dola* – tu: los. [przypis edytorski]

⁷⁴ *wiele* – tu: ile. [przypis edytorski]

co u Odry, i co nad Łabą siedzą, i z Pomorcami⁷⁵, i z Ranami⁷⁶ na Ostrowiu, i z Serby⁷⁷, i z Chrobaty⁷⁸, i Morawiany⁷⁹, i aż do Dunaju... i dalej. A któż policzy... jest nas jako gwiazd na niebie.

– Hm! – mruknął Hengo – i nas też niemało...

– A ziemi też dla wszystkich dosyć – dokończył Wisz. – Każdy u siebie doma ma, czego mu trzeba – ziemię matkę pod nogami, słońko nad głową, wodę w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milcząco.

– Tak ci jest – rzekł – przecie⁸⁰ jedni drugich nachodzą – i z głodu, i z chciwości, i dla niewolnika, gdy go zabraknie.

– Dzieje się tak u was – przerwał stary. – My wojny nie pragniemy ani w niej smakujem. Nasi bogowie pokój miłują jako my.

Niemiec się skrzywił.

– Kto wam tu co zrobi? – mruczał. – Kraj szeroki, pustynie – łatwo by wejść, ale wyniść trudno.

– Myśmy też – rzekł Wisz – od was się nauczyli bronić

⁷⁵ *Pomorcy* – rosyjscy osadnicy nad Morzem Białym. [przypis redakcyjny]

⁷⁶ *Ranowie* – plemię zachodniosłowiańskie, zamieszkujące wyspę Rugię. [przypis redakcyjny]

⁷⁷ *Serby* – Serbowie. [przypis redakcyjny]

⁷⁸ *Chrobatowie* – plemię słowiańskie zamieszkujące na Łysej Górze, rywalizujące z Polanami o panowanie nad krajem. [przypis redakcyjny]

⁷⁹ *Morawianie* – plemię słowiańskie zamieszkujące Morawy na terenie dzisiejszych Czech. [przypis redakcyjny]

⁸⁰ *przecie* – mimo to. [przypis edytorski]

i wojować, bośmy tego dawniej nie znali. Prawda, że tam u zachodu wasze duchy lepszy oręż kują, ale i nasz kamień stary, i pałka niczego.

– Myśmy już o kamieniu zapomnieli – odezwał się Hengo – pogrzebaliśmy stare młoty po mogiłach i już ich prawie nie widać. Nie zdał się już teraz kamień, gdy o kruszce łatwo, a ludkowie nasi po pieczarach coraz więcej go znoszą.

– My też mamy go od morza i od lądu, z różnych stron przywożonego – ciągnął Wisz – przecie⁸¹ dzieci uczymy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie pokazali, jak obrabiać, praojcom naszym.

I każdemu do grobu wkładamy młot – siekierę bożą, kamienną, aby się u swoich bogów nią wyświadczył, kim jest i skąd idzie. Inaczej by go nie poznali. A będzie tak na wiek wieków i u wnuków naszych.

Hengo słuchał ciekawie. Wtem stary podniósł się z ławy i sięgnął ręką na półkę, ponad dzieżę chlebną, gdzie rzędem leżały młoty i siekiery kamienne, poprawiane w drzewo i powiązane mocno. Ujął ich kilka w rękę pokazując Niemcowi.

– Po dziadach, pradiadach myśmy je odziedziczyli – mówił. – Były one ofiary bogom i łby wrogom, i zwierzom rogi. Gdyby nie kamień, nie byłoby człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, żyto kamień startł na mąkę – i błogosławiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia, i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie

⁸¹ *przecie* – mimo to. [przypis edytorski]

pożre.

To mówiąc młoty swe z poszanowaniem na półce położył.

W ciągu rozmowy niewiasty służebne koło ogniska się kręciły rozpalać je. Przez drzwi od komory otwarte dozorowała je Jaga. Pracowały z nimi niewiastki i córki, tylko Dziwa w wianku, z założonymi rękami z dala się temu zachodowi przypatrywała. Najmłodszą była w domu, najpiękniejszą i najukochańszą, a pieśni najśliczniejsze śpiewała. Matka ją najciekawszych baśni uczyła, ojciec najstarszymi podaniami karmił. Wiedzieli wszyscy, że ją duchy nawiedzały, że we snach szeptały jej o tym, o czym nikt, ani ojciec, ani matka, ani siostry nic nie wiedziały. Kto chciał wiedzieć przyszłość, jej pytał – pomyślała, popatrzała, powiedziała. A pieśni się u niej rodziły tak jak na wiosnę nad strumieniem kwiaty. Gdy na rozstajach i u świętych źródeł ofiary składano, nikt tam nie przodował, tylko ona jedna i szanowali ją wszyscy, a z młodzieży nikt nawet spojrzeć na nią nie śmiał zuchwale. Wszyscy wiedzieli, że ją sobie duchy wybrały za oblubienicę.

Dlatego, gdy drugie siostry i bratowe same w las się iść lękały, tam gdzie duchy latają unosząc się nad strumieniami, nad jeziorami, nad górami i wąwozami – Dziwa szła śmiało, wiedząc, że się jej nic złego nie stanie, że niewidzialna ręka zwierza i wilkołaka odeгна, smoka i węża nie dopuści.

U ogniska warzyła się i piekła wieczerza, a że gość był w chacie, dostatniejsza niż powszednio. Ćwierć kozłowa obracała się u ognia, w wielkim garncu warzyło mięsivo

z krupami. Jaga też zawczasu w cebrzyk drewniany utoczyć kazała piwa, jeden z chłopców przyniósł miodu, który tylko dla gości dawano. Znać było dostatek w domu, bo i nabiału nie brakło, zwierzyny, kołacza i chleba.

Wszystko to na stół zniesiono, a Wiesz skinieniem gościa zaprosił; sam siadłszy w rogu, gdzie jego miejsce było. Niżej na ławach synowie siedli, a niżej jeszcze parobcy...

Dziewki i niewiasty, nie śmiejąc usiąść z mężczyznami, służyły. W milczeniu zabrano się do mięsa palcami je odrywając, tylko Hengo noża na skórzanym pasku dobywszy, dla siebie krajać je zaczął. Na ten obcy zwyczaj dziwnie patrzano, bo krom⁸² chleba dużego wszystko się palcami brało i jadło. Postawiono garnuszki i czerpaczki przed siedzącymi z wodą, piwem i miodem. Wiesz zlał trochę na ziemię... Głodny podróżny raczył się i popijał do syta, a nierychło mu na myśl przyszło, iż dziecko głodne w szopie przy koniach zostawił. Szepnął więc coś staremu Wieszowi, który głową pokiwał.

– Jedzcie spokojnie – rzekł. – Nie zapomną o nim – u nas obyczaj nie tylko o panu pamiętać, ale i o sługach, a gdybyście psy mieli z sobą, i te by głodu nie zaznały. Zwierzęta też, którym bogowie mowę odjęły, kto wie, co w sobie noszą? Przecie naszą mowę rozumieją, w życiu nas strzegą, a po śmierci żałują.

Mówił to właśnie patrząc na psy swoje, które dobywszy się z zamknięcia, gdy zwietrzyły wieczerzę, wcisnęły się do chaty i pod stół, kości gryząc, które im rzucano.

⁸² *krom* – oprócz. [przypis redakcyjny]

Słońce się miało ku zachodowi, gdy najadłszy się i napiwszy, Wisz wstał, tuż za nim wszyscy z ław ruszyli. Podniósł się i Hengo; miejsce opróżniając dla niewiast, wyszli na podwórko z chaty.

Stary, na kiju się opierając, Niemca z sobą powiodł ku rzece, dawszy mu wprzód sakwy zrzucić w szopie, bo się nazajutrz do dnia⁸³ w drogę wybierał. Siedli znowu oba na tych samych kamieniach nad wodą. W łożach śpiewały słowiki... Nad błotami zwijały się czajki krzykliwe i niespokojne, w lesie kukułka coś liczyła po jednemu, a na moczarach bąk kiedy niekiedy jak stróż na czatach – hukał... z daleka. O kilkanaście kroków od nich dwa bociany, których gniazdo na szopie widać było, wieczorną odbywały przechadzkę, dzióbiąc żabki przestraszone...

⁸³ *nazajutrz do dnia* (daw.) – jutro przed świtem. [przypis edytorski]

III

Pomilczawszy chwilę Wisz spojrział na Niemca.

– Dostaliście się tu szczęśliwie – a dalej? Dokąd myślicie?

– Dokąd? – z wolna powtórzył, jakby nie chcąc się z tym zdradzić, co zamierzał, Hengo. – Dokąd? Ot, sam dobrze nie wiem. Wy tu na znacznej przestrzeni sami ze swoimi siedzicie i panami jesteście... Ja, żem tu już raz się kiedyś zabłąkał, przywlokłem się i teraz. Dalej puszcza, iść choćby za rzeką obłąkać się łatwo, a na złych ludzi trafię gromadę – którzy z życiem nie puszcza. Po lada jakich chałupach w lesie tłuc się nie myślę, pożytku z tego mało... ale... toć też gdzieś, nieopodal kneź⁸⁴ wasz siedzi... Gdyby do jego grodu nad jeziorem nie było daleko... puściłbym się...

Wisz brwiami siwymi ruszył, a ręką w prawo, nie mówiąc nic, pokazał.

– Jestże ci kneź... na grodzie nad jeziorem, a do niego w dzień niespełna stanąć łatwo. Kneź, kneź! – powtórzył z przekąsem. – Ten kneź już sobie prawa do wszystkiej naszej ziemi rości, po wszech kniejach poluje, a ze swymi zbrojnymi ludźmi czyni, co chce... To srogi człek – jemu się w paszczę dostać, jak wilkowi głodnemu... Ano, i na wilki ludzie sposoby mają.

Niemiec zmilczał.

– Wasz ci to kneź, nie obcy – rzekł po chwili. – Trzeba przecie,

⁸⁴ *kneź* – kniaź; tytuł władcy. [przypis edytorski]

żeby naród miał głowę i wodza – a co by począł, gdyby go wróg naszedł?

– Niech nas od tego bogi bronią – mówił stary. – My to wiemy, póty naszej woli⁸⁵, dopóki pokoju. Przyjdzie wojna, z nią iść musi niewola. A kto z wojny skorzysta? Nie my, ino kneź nasz i jego słudzy. Nam wróg chaty popali, bydło zajmie, oni niewolnika nabiorą dla siebie i łupu. Tyle z tego, że nam dzieci poginą; a kto padł w wojnie, temu i mogiły nie usypią, krucy⁸⁶ ciała rozniosą.

I westchnął.

– Pan to jest mocny, ten, co na grodzie siedzi? – spytał Hengo.

– Bogi mocniejsze od niego – mruczał Wisz – a i gromada silną bywa... Ja nie wiem więcej, dań mu dają, jaką każe – i znać go nie chcą; ani jego, ani całego ich Leszków plemienia.

– Wyście u siebie panem – dorzucił pochlebiając Hengo.

– A pewno – rzekł Wisz. – Gdybym nim tu nie miał być, toć są jeszcze ziemie puste, poszedłbym, jak ojcowie chadzali, z moimi gdzie indziej, gdzie wojna nie dochodzi i niewola. Zaorałbym nową granicę wołami czarnymi i siadł.

Jakiś półuśmieszek szyderczy Niemcowi się po ustach przesunął i dodał:

– Hej no – gdybyście mi odpowiedzieli a ukazali drogę do Gopła, a do stołba⁸⁷ kneziowego – kto wie? powlókłbym się

⁸⁵ *wola* – tu: wolność. [przypis edytorski]

⁸⁶ *krucy* – dziś popr. forma lm.: kruki. [przypis edytorski]

⁸⁷ *stołb* a. *stołp* (daw.) – wieża obronna, wolno stojąca, wzniesiona w obrębie murów zamku; donżon. [przypis edytorski]

jeszcze... zobaczyć i tego świata trochę.

Gospodarz pomyślał nieco.

– Czemu nie! Próbujcie szczęścia – rzekł. – Z waszych tam już niejeden bywał, niejednego też może znajdziecie. Kneź ma żonę z niemieckiego kraju, po niemiecku rad rządziłby nami.

Wstał stary z kamienia.

– Słońce nie zaszło jeszcze, macie dobre nogi? – zapytał. – Pójdziemy za las, na górę, skąd świata widać niemało... Stamtąd wam drogę ukażę łatwo... Chcecie za mną?

Niemiec, który łuk i procę zostawił we dworze, prawie będąc rozbrojony, zawahał się nieco.

– Tak? Z rękami gołymi? – spytał.

– Jam tu na mojej ziemi – odparł stary obojętnie – mnie tu zwierz nawet szanuje. Innej broni nie potrzebuję – dodał, róg wyjmując z zanadru – nad tę jedną. Gdy się głos rozejdzie po lesie, zrozumieją.

Szli więc razem. Od strumienia lekko się podnosząc ku górze, zielona łąka wiodła ich ku lasom. Stary wśród zasieków znalazł przełaz i ścieżkę. Wprędce byli już wśród ciemnej gęstwiny – a tu Wiesz jak w domu, choć nigdzie śladu drogi żadnej nie było, kierował się nie patrząc prawie. Hengo drapał się za nim – milczeli idąc oba... Wzgórze, niezbyt wyniosłe, z wolna, nieznacznie wspinało się, lasem okryte. W zaroślach ptastwa mnóstwo zlatywało z gałęzi, na których się już noclegować zabierało.

Zdawały się gniewne na starego gospodarza, że ich spokój

zakłócił. Mignęły sine skrzydła kraski, srocza w białej spódniczce podniosła się gderząc, podlatując, przysiadając i zrywając się przed nimi, aby ich łąjąc, przeprowadzając dalej. Spod drzewa, u którego czatował, mignął lis żółtym ogonem, zawinął się i znikł wsunawszy do jamy. Na gałęziach pomykały wiewiórki, ledwie dojrzane, tak zwinnie skakały z jednego wierzchołka na drugi. Stary po drodze podnosił głowę ku barciom⁸⁸, bo ich tu pełno było na drzewach, reszta pszczoł spóźnionych wracała z łąk niosąc plon, cisnąc się do nich przed rosą, aby im skrzydła nie ocieżały.

Szli tak coraz głębiej, a Niemcowi, nienawykłemu do pieszej wędrówki, za starym trudno było nadażyć. Wtem las się rozstał, polanka, trawą bujną zarosła, wierzch wzgórza okrywała. Wśród wielkiej płaskiej przestrzeni wznosiła się sypana mogiła, z której widok rozlegał się na okolicę, jak oko sięgnąć mogło. Wspaniały był i wielki... Wiesz stanawszy tu i oglądając się po swej ziemi, mógł się czuć panem. Hengo, spojrzawszy na niezmierną przestrzeń u nóg swoich rozłożoną, stanął zdumiony i widocznie rozradowany. Dolina, którą mieli u stóp swoich, była w większej części lasami okryta. Zachodzące słońce jaskrawym blaskiem ją oblewało, promienie czepiały się wierzchołków drzew gdzieniegdzie w złotych odbijających jeziorach i przeglądających między drzewami i łąkami rzek wstęgach.

Patrzac nań z góry, rzekłbyś, że cały kraj ten, cały świat

⁸⁸ *barć* – naturalne siedlisko pszczoł. [przypis edytorski]

zarastała puszcza jedna, szeroka jak morze i jak morskie równiny siniejąca w oddaleniu. Jak fale też kołysały się bliższych drzew wierzchołki. Wśród tej ciemnej zieleni jodeł i sosen, gdzieś młodych złocistych lip i brzoź, i majowych łąk zieloność się przebijała. Dalej ściśnięte drzewa już oku nie widzieć nie dopuszczały nad wierzchołki, nad które mało starszych samotnie strzelało ku górze. Głuchy szum zaledwie chwyciło ucho... W dwóch tylko miejscach sinego dymu słupy wznosiły się ku górze, niezgięte żadnym wiatru powiewem... Na widnokręgu pasami długimi rozścielały się do snu mgły wieczorne.

Wisz wskazał Niemcowi w prawą stronę.

– Tam... w końcu dnia z końmi waszymi dostaniecie się łatwo. Trzymajcie się ciągle rzeki, a minawszy do niej wpadające strumienie, szukajcie brodu i przejedźcie na drugą stronę.

Chciał mówić dalej, gdy ucho jego, do chwytania i rozumienia najmniejszego szelestu nawykłe – coś z dala uderzyło. Zatrzymał się, głowę spuścił i słuchał.

I Hengo też w dolinie pochwycił jakiś oddalony tętent głuchy, który się zdawał przybliżać. Wiszowi twarz się zachmurzyła, ręką pokazał na kierunek i spytał.

– Rozumiecie? A teraz – dodał – chodźmy; boję się, czyśmy wilka nie wywołali z lasu. Tętent słyszę... Jeżeli jedzie kto, to chyba kneziowscy słudzy, utrapiona zgraja, która nigdy z próżnymi nie odchodzi rękami. Smerdowie⁸⁹ jego i posłańcy...

⁸⁹ *smerda* (daw.) – sługa książęcy (tu: w randze przełożonego); u Słowian: wolna

Po co? Wiedzą chyba oni sami. Dokąd? Nigdzie jak do Wisza, u którego miód stary stoi...

Stary poruszył się z żywością prawie młodzieńczą i nie patrząc już prawie na Niemca posunął się tą samą drogą w dół, którą na górę wchodzili. Lecz teraz pędził żywiej i przesunawszy się przez las – spoza ostatnich drzew ujrzeni rychło zieloną łąkę, a na niej brzegiem rzeki posuwających się pięciu konnych, na których Hengo ciekawe zwrócił oczy.

Przodem jechał dowódca, parami za nim czterej inni... Łatwo w pierwszym poznać było starszego, koń pod nim roślejszy i pokaźniejszy ubiór odznaczał kneziowego sługę. Był to barczysty chłop, z włosami długimi, które mu gruby kark okrywały. Na głowie miał czapkę ze sterczącym przy niej piórem białym. Odzież na nim z sukna jasnego obszycie miała czerwone, u boku miecz sterczał w pochwie, na plecach łuk nad głową się podnosił i łubiany⁹⁰ wór na strzały.

Jadący za nim w rękach trzymali toporki, zbrojni też w łuki i proce, obwieszeni sakwami... Wiesz zobaczywszy jeźdźców jak noc się zachmurzył – porwał róg zza koszuli i trzy razy prędko raz po razu zatrąbił, do chaty znać oznajmując⁹¹ o nadjeżdżających.

Gdy głos ten się dał słyszeć, jezdni na koniach poruszyli się żywiej i pierwszy z nich obejrzał dokoła, szukając sprawcy...

ludność chłopska popadła w zależność od księcia. [przypis edytorski]

⁹⁰ *lubiany* – wykonany z łuby, czyli tzw. dartki drzewnej: długich, cienkich pasów struganych z miękkiego drewna, służących do wyplatania koszy itp. [przypis edytorski]

⁹¹ *oznajmując* – dziś: oznajmiając. [przypis edytorski]

mógł już z brzegu rzeki, nad którą jechał, zobaczyć Wisza, a ten też niezwłocznie pospieszył na przełaj, ku niemiłym gościom.

– Ej! gadziny przekłete! – mruczał idąc. – Smoki nienasycone... Smerda pański! Bodaj ich razem obu pioruny ze skóry darły! – Odwrócił się do Niemca. – Wam to na rękę, bo was pewnie i wasze sakwy ze sobą chętnie zabiorą, ale mnie...

Hengo nie okazywał twarzy wcale, czy był rad lub nie spotkaniu.

– Juścić – rzekł – gdyby co złego groziło, prawa gościnności bronić mnie każą.

– Jeżeli ja sam siebie od nich obronię – mruknął Wisz. – Pięciu ich, nie tak to straszna rzecz, moi chłopcy powiązaliby ich na skinienie, ale u stołba⁹² znajdzie się ich dziesięć razy tyle, gdyby się mścić chcieli.

Szli co prędzej ku zagrodzie.

Smerda kneziowski jadący przodem konia zatrzymał, starego poznawszy lub się domyślając gospodarza. On i jego towarzysze mniej się mu jednak niż Niemcowi przypatrywali. Czuli w nim obcego, a obcy dla nich zawsze był dobrym obłowem...

Gdy podeszli, starzec się smerdzie pokłonił, chociaż ten mu nie myślał oddać powitania. Skłonił się i Hengo, ale mu twarz pobladła, czuł, że chciwe oczy wszystkich na niego się skierowały.

– Kogóż to z sobą prowadzicie, stary? – wołał smerda. – Obcy? Skąd?

⁹² u stołba – pod wieżą, w okolicy wieży. [przypis edytorski]

Czterej jezdni wnet go obstąpili dokoła.

– Znad Łaby jestem, przekupień, człek spokojny, nieobcy...

– rzekł, nabierając śmiałości trochę, Hengo – nieobcy, bom tu nieraz bywał z towarem... wszędy mnie swobodnie przepuszczano...

– Znamy my tych ludzi spokojnych! – krzyknął śmiejąc się smerda – Znamy... Kto wie, na co wypatrujecie drogi po kraju, szukacie brodów po rzekach, zaciosujecie znaki po drzewach... Aby potem poprowadzić...

– Spokojny człek – odezwał się Wisz powoli – dajcie mu pokój, chleb z nim łamałem.

– A mnie co do tego? – zawołał smerda gniewnie. – Kneź surowo zakazuje, aby się tu obcy po kraju nie wałęsali. – Pójdzie z nami.

– Pojadę z wami po dobrej woli, miłościwy panie – rzekł szybko Hengo – A gdy na twarz padnę przed kneziem, łaskę u niego zyszczę⁹³, bo pan jest sprawiedliwy... Jam samowtór⁹⁴ z chłopięciem... i – cóż ja złego zrobić mogę?

– Związać mu ręce – krzyknął smerda – ano, zobaczymy...

Gdy to mówił, dwóch pachołków skoczyło z koni, aby rozkaz jego wykonać. Smerda skierował się ku zagrodzie.

⁹³ zyszczę (starop.) – zyskam, pozyskam. [przypis edytorski]

⁹⁴ samowtór (daw.) – sam z kimś, we dwóch; przysłówek oznaczający wykonywanie jakiejś czynności przez dwie osoby; *samotrzyć* – sam z dwoma towarzyszami, we trzech; *samoczwór* – sam z trzema towarzyszami, we czterech; *samopiąt* – sam z czterema towarzyszami, w pięciu; *samoszóst* – sam z pięcioma towarzyszami, w sześciu itd. [przypis edytorski]

Stali tu już parobcy i synowie, stała we drzwiach stara Jaga, z równie starą sługą – żadnej z młodszych niewiast widać nie było.

Na znak dany przez ojca wszystkie się ukryły po kątach i zbiegły do lasu, aby się z obcymi ludźmi zuchwałymi nie spotykać. Wyjaśniła się⁹⁵ też twarz Wisza, gdy w podwórku ani córek, ani synowej żadnej nie zobaczył.

Smerda zlaźł z konia u wrót, ludzie jego także, dwu z nich poprowadziło Henga z sobą, wydrwiwając się z niego, popychając i bijąc. Ręce już miał w tył związane sznurem, którego koniec trzymał jeden z pachołków. Konie poszły do szopy, ludzie wprost kroczyli do dworu. Tu Jaga, pokłonami ich witając, zapraszała. Wiesz stary szedł zamyślony i chmurny. Zaszumiało wnet w izbie, gdy obcy się do niej wcisnęli. Smerda padł na ławę, pierwsze, gospodarskie zajmując miejsce. Wołali już piwa i miodu, które zaraz niesiono, aby sobie gardła zalali. Gospodarz, nic nie mówiąc, z dala zajął miejsce na ławie.

– No, stary gospodarzu – ozwał się smerda – wy to już wiedzieć powinniście, z czym my jedziemy... Należy kneziowi dań...

– A dawnoście ją brali? – mruknął stary.

– Myślicie się rachować z nami? Kmieć z kneziem? – rozśmiał się smerda.

– Kmieć z kneziem, bo ja tu, na tej ziemi, kneziem jestem – mówił Wiesz. – Ze skóry nas drzecie pod pozorem obrony.

⁹⁵ wyjaśniła się – tu: rozjaśniła się, rozpogodziła. [przypis edytorski]

Smerda chciał się śmiać, ale popatrzywszy na starego, rychło mu ochota odeszła, spowolniał⁹⁶ jakoś.

– Pijcie i niech wam tak będzie na zdrowie, jako życzę – dodał stary. – A potem o sprawie.

Kneziowski sługa, pomyślawszy, stał się łagodniejszym, czerpakiem piwa z cebra nabrawszy, począł je chciwie żłopać. Towarzysze też jego garnuszkami czerpać jęli, aby ugasić pragnienie. Hengo związany stał u progu. Chwilę trwało przerywane chlipaniem milczenie. Smerda wąsy otarł i zwrócił się do Niemca.

– Gdzie twoje konie i sakwy?

– Znajdą się jutro razem ze mną przed kneziem – rzekł Hengo. – Proszę was, w pokoju mnie zostawcie.

– Zrobię z tobą, co chcę! – krzyknął smerda.

Wisz chciał bronić obcego, gdy Hengo z rękami związanymi, za sobą sznur wlokąc, szybko podszedł do siedzącego na ławie smerdy, przysunął mu się do ucha, zasłonił dłonią i żywo, długo coś mu szeptać począł. Z twarzy nie widać mu było przestachu... Gdy mówił, z wolna lice kneziowskiego sługi mieniło się⁹⁷, marszczyło, rozjaśniało. Popatrzał z ukosa na Niemca, głową potrząsnął i rzekł do swoich ludzi:

– Rozwiązać mu ręce – pojedzie jutro z nami, na grodzie się z nim rozprawim.

⁹⁶ *spowolnić* – tu: spokornieć; zachowywać się „po (według) czyjejś woli”. [przypis edytorski]

⁹⁷ *mienić się* (starop.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

Uwolniony tak cudownie od sznurów, które mu ręce krępowały, Hengo ze spuszczoną głową usiadł w kącie. Smerda, już co innego mając na myśli, zwrócił się do starej Jagi.

– Matko stara – zawołał – a gdzież to niewiastki i córki wasze? Radzi byśmy na nie popatrzyli, gładkie mają liczka.

– I dlatego wam ich nie pokażą – wtrącił gospodarz. – Co wam do nich?

A Jaga dodała:

– Nie ma ich od rana. Poszły w las wszystkie za grzybami, za rydzami, chyba i na noc nie powrócą.

– W las! – zaśmiał się smerda, któremu zawtórowały śmiechy jego towarzyszków, piwem rozochoconych. – Oj! Szkodaż to, szkoda, żeśmy ich po drodze nie spotkali. Byłoby się z kim zabawić, choćby i do jutra.

Wisz spojrział z ukosa na mówiącego, któremu śmiech zamarł na ustach.

– Przy takiej zabawie – rzekł Wisz – jakby was ojciec i bracia zastali, moglibyście i na wieki w lesie pozostać, a nigdy z niego nie wrócić. – Wilcy z krukami tylko by o was wiedzieli.

Cicho, ponuro wymówił te słowa. Smerda je usłyszał i zachmurzył się. Drudzy znowu około kadzi z piwem chodzili i on też, milcząc, do niej powrócił. Tymczasem na dany znak synowie Wisza podeszli do rozmowy, podsunęła się i Jaga, a Wisz z wolna poszedł naprzód ku ognisku, potem od niego ku drzwiom, gdzie się z wiadra wody napił. – Tu nieopodal rozwiązany siedział Hengo, gospodarz dał mu znak i wyszli

razem do sieni.

Nic nie mówiąc, stary ręką ukazał Niemcowi na drzwi i wrota – dając do zrozumienia, by uchodził, lecz Niemiec – obejrzwawszy się, szepnął mu do ucha:

– Ja się ich nie boję, nic mi nie zrobią – dostanę się z nimi do knezia. Towaru tylko nie wezmę z sobą wszystkiego – by darmo się nie wozic z ciężarem.

Wisz popatrział nań zdziwiony.

– Dlaczegoż uchodzić nie chcesz? Spod mojego dachu na co ma cię spotkać nieszczęście?

Hengo uśmiechnął się chytrze, głową potrząsając.

– Nie boję się – nic mi nie zrobią... Wykupię się im, bądźcie spokojni, tylko wam jedną sakwę zostawię.

Milczeniem gospodarz zgodził się na to, a Niemiec wysunął zaraz ku szopie, skąd parobek wyniósł po chwili sakwę, którą w komorze ukryto. Hengo podziękowawszy gospodarzowi, wrócił do izby i siadł znowu w swoim kącie, nim postrzeżono, że go nie stało⁹⁸.

W izbie gwar był i śmiechy.

Smerda orzeźwiał też po piwie, ze starą babą żarty strojąc, a towarzysze mu rozgłośnym śmiechem wtórowali. Trwało to aż do nocy, wniesiono łuczywo suche, którego drzazgi między kamienie wetknięte zapalono, aby izbę oświecały.

Zobaczywszy światło, smerda się dopiero obejrzał za gospodarzem dokoła.

⁹⁸ że go nie stało (daw.) – że go brakowało. [przypis edytorski]

– Gdzież gospodarz? – zawołał.

Wisz stał u progu chaty – trąciła go Jaga, niechętnie się zawlókł do środka. Ludzie mu widocznie nie w smak byli. Zobaczywszy starca, smerda wstał, idąc ku niemu, skinął i na podwórze z sobą prowadził.

– Od knezia jadę do was i do drugich kmieci, i żupanów – rzekł. – Kneź was pozdrawia uprzejmie.

Stary skłonił głowę i po siwych włosach powiódł zafrasowany pomarszczoną dłoń.

– Pozdrowienie łaskawe – rzekł – ano, na tym nie koniec. Kiedy zdrowia życzy, pewnie czego żąda, inaczej by o kmieciu nie wspomniał.

Smerda brwiami ruszył.

– Ludzi nam bardzo, bardzo brak – rzekł. – Jednego ze swoich dać musicie do kneziowskiej drużyny. Wszak ci to ona was i ziemi broni.

– Cóż to? Na wojnę myślicie? – rzekł Wisz.

– My jej nie wydamy⁹⁹ nikomu, ale na grodzie ludzie muszą być pogotowiu, do obrony – mówił smerda. – Dwóch nam zmarło z zarazy, jednego zwierz rozdarł w lesie, a kneź też ubił jednego, trzeba nam ludzi... U nas się źle nie dzieje... Głodu nie mają, jedzą razem ze psy kneziowskimi, a po całych dniach na brzuchach się wylegają. I piwa się im nie skąpi. Przyjdzie wyprawa, z łupu się co dostanie.

– Albo się pójdzie w niewolę – dodał Wisz.

⁹⁹ wydać wojnę – wypowiedzieć komuś, wszcząć z kimś wojnę. [przypis edytorski]

– Jeżeli nie dwu, jednego musicie dać – zakończył smerda.

– A jak żadnego? – zapytał Wisz.

Smerda się zamyślił.

– To was na sznurze powlokę do grodu – rzekł smerda.

– Chociem kmieć wolny? – spytał gospodarz spokojnie.

– Mnie co do tego! Kneź przykazał.

– Tak, tak! – zawołał Wisz zadumany patrząc w ziemię. –

Wziął się obyczaj taki. Patrzcie tylko, żeby was kiedy kmiecie na postronkach nie ciągnęli, jak się im naprzykrzy.

Zmilczał posłaniec.

– Nie przeciwcie się¹⁰⁰ – szepnął po cichu. – Kneź tymi dniami zły bardzo... Przez sen, gdy w podsieni zadrzemie, zgrzyta zębami i jak wilk człapie. Na kmieciów się odgraża bardzo. Zamiast dwu, dajcie mi jednego człowieka – i skórę na kozuch, bo mi się mój dobry podarł na usługach.

Zamyślony stał gospodarz długo w podwórzu, skinął potem na smerdę, by z nim szedł, wrócili do chaty. Na ławie siadł stary, kij między nogi wzięwszy, wsparł ręce na nim i po chłopcach swoich poglądał, jakby szukał ofiary.

– Hej, Sambor – odezwał się do stojącego z tyłu za gromadką, śmiejącego się z dworakami chłopaka. – Sambor, chodź tu!

Przywołany tym imieniem parobczak wyprostował się i podszedł.

– Tobie w polu nie bardzo się chce robić, a koło domu też nie lepiej – rzekł do niego. – Więcej leżysz i śpiewasz, niż

¹⁰⁰ *przeciwić się* (daw.) – sprzeciwiać się. [przypis edytorski]

pracujesz... Ty byś się zdał do lekkiego chleba, przypasawszy mieczyk drugim ganiać i piórko za czapkę wetknąwszy, popisywać się urodą. Ty na kneziowski dwór pójdziesz z ochotą?

Nagle zagadnięty parobczak, choć mu się niedawno twarz śmiała, posmutniał nagle. Oczyma niespokojnymi potoczył dokoła – zobaczył, jak mu się smerda przypatrywał ciekawie, ogarnęła go trwoga i padł przed starym na kolana.

– Ej! ojcie panie, po cóż mnie w niewolę dajecie? – krzyknął.

– Co za niewola – przerwał smerda. – Będiesz wojakiem. U knezia lepiej niż tu, a jak się spodobaś panu, kto wie, co będzie z ciebie.

Wisz po schylonej jego głowie ręką pogłodził.

– Musi jeden iść za wszystkich... – rzekł. – Na ciebie kolej, Sambor.

Stara Jaga, opodal stojąca, ręce załamała, bo choć parobczak synem jej nie był, ale się w chacie wychował i jak dziecko własne go kochano.

Drudzy parobcy tym oznajmieniem strwożeni cofnęli się w głąb – opuściła ich wesołość. A tuż i smerda dłoń szeroką na ramię Samborowi położył, jakby go brał w posiadanie.

– Pójdziesz z nami – rzekł.

Podniósłszy oczy parobczak spotkał wejrzenie Wisza, skierowane ku niemu – które doń coś mówiło, coś, co oni tylko dwaj rozumieli.

Sambor się uspokoił i wstał, smutny jeszcze, ale milczący, nie narzekając już na losy swoje.

Kto by się wsłuchał był w głosy, które wewnątrz chaty się ozwały, gdy Jaga wyszła, załamawszy ręce – domyśliłby się, że tam niewiasty za Samborem zawodzić musiały. Nikt jednak nie śmiał ozwać się głośniejsze, aby obcy nie posłyszeli głosów niewieścich i nie domyślili, że się od nich pochowały¹⁰¹. Dano jeść przybyłemu smerdzie i ludziom jego, a piwo z cebrów dokończywszy wszyscy poszli do spoczynku. Wisz ich zaprowadził do obszernej szopy, na siano. Obok niej stały konie niemieckie. Niemca też puszczono, nie bardzo się troszcząc o niego – i szedł przy nich nocować.

Gospodarz z Samborem sami pozostali w podwórku. Chłopak chciał zacząć rozmowę, gdy stary dał mu znak, aby z nim za wrota szedł, i wywiódł go nad rzekę. Księżyc wschodził nad lasami. Siadł stary, milcząc długo. Słowiki tylko krzyczały...

– Nie płacz ty i nie narzekaj – poczał po cichu Wisz. – Nikt nie wie, gdzie go jaka dola czeka. Chcieli wziąć jednego z was, a ja bym i sam im dał... bo mi tak było potrzeba... I nie tylko mnie, ale i drugim.

– Za cóż ja idę? – nieśmiało spytał Sambor.

– Boś ty rozumniejszy od drugich – mówił stary. – Bo masz oczy i język, bo więcej nas kochasz niż drudzy, bo ja tobie ufam i miłuję cię. Jesteś obcy, a mam cię za syna. Posłałbym syna... oni oba ziemianie i rolniki, i myśliwce, i bartniki... a ty śpiewać lubisz, ale myśleć umiesz.

Zatrzymał się trochę, wsłuchując się w wieczorną ciszę –

¹⁰¹ że się od nich pochowały – że się przed nimi pochowały. [przypis edytorski]

a potem mówił dalej, głos zniżając.

– Słuchaj, Sambor – ja ciebie nie na zgubę ślę, ale z potrzeby. Wielkie się u nas rzeczy gotują, kneziowie nas za łby chcą wziąć, postrzyc w niewolniki i Niemców z nas porobić. Z Niemcami się znoszą¹⁰²... Nam dojadło¹⁰³ to... My nic nie wiemy, co oni tam robią, aż nam na szyję więzy spadną. Ty idź, patrzaj, słuchaj, nastaw uszy. Musimy wiedzieć, co się u nich dzieje. Po to ja tam ciebie ślę... Usta zamknij, oczy otwórz, posłuszny bądź... kłaniaj się nisko... a o nas nie zapominaj. Czasem tam kto z bliźniakami¹⁰⁴ przyjdzie, z pokłonem... Powiecie mu, co posłyszycie. Przyszedł czas... przyszedł czas... albo Leszki nas spętają, albo my ich wyżeniem i wydusim. Ano – st! st!

Stary palce położył na ustach. Sambor przystąpił doń i objął za kolana.

– A! – rzekł. – Iść między obcych, porzucić was, ciężka to dola. Myślałem – z wami poczęło się życie i przy was skończy.

Wisz przerwał mu.

– Nie na wieczność tam idziesz – rzekł cicho – jak będzie pora, skiniemy na cię – powrócisz... Nauczysz się tam wiele, natrząsz, dowiesz, bo cię się strzec nie będą. Na Kupatę¹⁰⁵,

¹⁰² *znosić się z kim* – zmawiać się. [przypis edytorski]

¹⁰³ *dojeść komuś* – dokuczyć; tu: forma 3.os.lp.r.n. dojadło: dokuczyło. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *bliźniaki* – tu: gliniane naczynie złożone z dwóch połączonych ze sobą dzbanów, w którym noszono jedzenie pracującym w polu itp.; dwojaki. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *Kupała* – święto pogańskie ludów słowiańskich, bałtyckich, niektórych germańskich, celtyckich i ugrofińskich, przypadające na najkrótszą noc roku

na koladę¹⁰⁶ do mnie ci pozwolą... A od stołba do nas nie kraj świata!

I pogłaskał go po głowie... ale Samborowi mimo tych obietnic ciężko na sercu było.

– Mój ojciec – szeptał tęskno. – Co ty każesz, ja muszę. Ale ja tu tak jak wolny byłem, tam idę na pęta i pod grozę. U was wszyscy dziećmi, tam wszyscy niewolnikami. Gorzki to chleb, co go w pętach jeść potrzeba.

Wiesz, jakby skarg tych słuchać nie chciał, nie odpowiedział na nie.

– Patrz a ucz się – powtarzał. – Zapamiętaj wszystko. Nam się stamtąd wszystkim niewola gotuje, jeśli o sobie nie pomyślimy. A kto z nas wie, co się w tym wilczym dole praży i smaży? Żaden z kmieciów nie ma tam swojego. Ja tam twoje oczy posyłam za moje. Kneź – sroga bestia, ale pokłony lubi, bij mu je, zyszczesz łaski, nie będą się taić przed tobą. Piją, a po pijanemu wygadają, co u trzeźwego na myśli.

Stary szeptał coraz ciszej, kiedy niekiedy chłopaka bijąc po ramieniu... ten stał z głową zwieszoną, zachmurzony, księżyc już się był podniósł¹⁰⁷ w górę i świecił w rzece odbity, gdy po długiej

(przesilenie letnie, z 21 na 22 czerwca). Święto ognia, wody, słońca i księżyca, urodzaju, płodności, radości i miłości; jego obchody skupiały całą lokalną społeczność. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *kolada* – święto obchodzone w okolicach Nowego Roku (a właściwie najdłuższej nocy kalendarzowej). [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *się był podniósł* – daw. forma czasu zaprzeszłego używana dla mówienia o czynności poprzedzającej inną, również przeszłą. [przypis edytorski]

rozmowie się rozeszli. Sambor jak wkuty na podwórku pozostał, oparty o wrota. Psy przyszły mu się łąsić do ręki, pogłaskał je. Słuchał śpiewu słowików i klekotania żab, i hukania bąka na błotach, jakby chciał sobie w pamięć wrazić tę muzykę nocną puszczy, którą nierychło znowu usłyszeć się spodziewał.

Sen go nie brał – siadł na kłodzie i przesiedział noc całą do dnia.

Już się we dworze niewiasty ruszać zaczęły, gdy parobczak poszedł obchodząc zagrodę ku tylnym wrotom, jakby się tam kogo spotkać spodziewał.

Jaga wyszła naprzód i pospieszyła ku niemu.

– Samborze, mój miły, nie trwóż się i nie tęsknij – powrócisz.

Ale sama łzę fartuchem otarła. Wtem przez drzwi wpółotwarte pokazała się Dziwa, która w rękach trzymając kosy, zadumana plotła je powoli. Spojrzała na chłopaka i smutnie mu się uśmiechnęła.

– Co ty tak stoisz ponury? – rzekła powoli, głosem jakimś spokojnym, a jak śpiew przeciągłym. – Co tobie? Nie wstyd ci mieć strach w sercu, a łzy w oczach? Nie każdemu dano siedzieć w chacie i spoczywać, różne losy, różne dole. Dobrej myśli bądź! Czasem ja widzę, widzę daleko, widzę jasno, czasem ja jutro odgadnę... Nie smuć się, Sambor. Złego ci się nic nie stanie.

– Szkoda mi was porzucić – rzekł chłopak – a tęskno będzie.

– I nam za wami! – rzekła Jaga.

– Nam za wami! – powtórzyła Dziwa. – Ano, wy do nas wróćcie.

– Kiedy? – zapytał Sambor.

Dziwa puściła z rąk włosy, oczy utopiła w ziemię, cała jej postać przybrała uroczysty wyraz i poczęła mówić z wolna, nie patrząc na chłopca.

– Wróćcie, wróćcie, gdy nad Gopłem łuna stanie, trupy spłyną po jeziorze... Kneź stary z lasu wyjedzie, nowe przyjdzie panowanie, gdy popioły wiatr rozwieje, kiedy krucy się nasycą, kiedy bartnik zbierze pszczoły. Kiedy zrąb nowy postawią nad Lednicą u jeziora. Powróćcie, zdrowi, cali... Z jasnym mieczem, z jasnym czołem.

Coraz ciszej mówiąc, zamilkła, podniosła oczy na stojącego przed sobą Sambora i rękami obiema śląc mu pożegnanie, z uśmiechem, jakby oprzytomniona nagle, chwyciła rozpuszczone kosy, wbiegła do chaty i drzwi zatrzasnęła za sobą.

IV

Wszystko się już budziło po szopach i oborach... Parobcy szli wypędzać stada... Dziewczęta czerpały wodę u studni. Smerda ze swoimi wstawał, napędzając do drogi, Hengo chłopca słał do wodopoju, na ognisku stare sługi rozpalały ogień. Wisz, który sen miał lekki, z siermięgą na plecy zarzuconą wyszedł o kiju obejrzeć naprzód, jaki się dzień obiecywał.

Niebo nad rankiem szare chmury okryły, od strony tylko wschodu rumieniały one, a choć wiatru czuć nie było na ziemi, górą obłoki pędziły żywo wyprzedzając się i kłębiąc. Nad błotami stały gęste opary, poruszały się to bledniejąc, to szarzejąc. Rosa kroplista, biała okrywała trawy i szklila się na zielonych liściach młodych. W szopie słychać było beczące owce, na pastwiskach rżące konie, u brzegu mruczącą rzekę i jeszcze zawodzącego nieznużonego słowika.

Dwa kruki z zachodu z wolna ciągnąc zatrzymały się nad chałupą i poleciały dalej leniwo... Stary obejrzał się za nimi i pokiwał głową.

Sługi z szopy niosły świeżo udojone mleko kobyłe. W izbie stał już znów ceber piwa i placki dla gości, aby o głodzie ze dworu nie wyjechali. Na ławie Wisz zawczasu położył niedźwiedzią skórę, której mu było żal, ale smerdzie ją trzeba było dać, aby zły woli nie miał i nie skarżył przed panem.

Sambor, posłuszny, już węzełek swój na drogę wiązał,

skórznie ozuwał i mocno około nóg sznurował... Procę i łuk nałożył na siebie, toporek u pasa uwieszał. Smutnoż mu było. A przecież, młody, pocieszał się trochę, że na białym świecie dużo zobaczy... Więcej za jeden dzień¹⁰⁸ niż w zagrodzie za życie całe.

I żał mu było wszystkich, bo ku chacie spoglądał, ale oprócz starej Jagi, która mu kołacz do torby przyniosła, nie zobaczył już nikogo. Parobcy tylko na szyi mu się wieszali.

Smerdowi towarzysze, on sam i Hengo, i gospodarz stary, zebrali się około ogniska. Wszyscy jechać spieszyli, bo się im zdało, że deszcz lunie prędko, tak groźne ciągnęły chmury, tylko Wisz spokojny ręczył, iż się niebo rozpogodzi.

Niemiec nie zdawał się frasować¹⁰⁹ wcale, że go zabierano do kneziowego grodu, szedł jakby po dobrej woli, choć oczy towarzyszków chciwie się na jego sakwy zwracały. Milczący Gerda więcej nadeń był strwożony i z tego nikt się słowa nie dopytał.

Śmieli się z niego wszyscy, palcami wytykając: Niemy!

Po dobrej chwili, najadłszy i napiwszy się, ruszyli wszyscy do koni. Sambor staremu do nóg padł, ale ten skinąwszy tylko, odprawił go sucho. Konia mu z domu nie dawano – musiał więc pieszo zdążać za drugimi.

Smerda ruszył przodem, za nim czterej jego towarzysze, około których szedł nowozaciężny z głową spuszczoną, dalej

¹⁰⁸ *za jeden dzień* – dziś: w jeden dzień; w ciągu jednego dnia. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *frasować się* – martwić się. [przypis edytorski]

Hengo z chłopakiem. Tak wyciągnęli za wrota i brzegiem rzeki się kierując, wkrótce znikli w zaroślach z oczów staremu Wiszowi. Sambor, obejrzawszy się, nie dojrzał już nic, tylko słup dymu nad zagrodą wzbijający się ku górze.

Jak przepowiedział stary, tak się stało – mały tylko jak rosa deszczyk przekropił, zapachniały po nim brzozy, niebo się jasne zza szarych zaczęło ukazywać obłoków. Cała chmur nawala zbiła się na zachodzie, nad głowami podróżnych wyjaśniło się i blade słońce wyjrzało zza przejrzystych rąbków, jak oblubienica, gdy się z pościeli podnosi. Podróżni jechali w milczeniu. Konie ich same prawie torowały sobie drogę, choć znaku jej żadnego nie było.

Smerda jadąc drzemał – spali też na koniach, choć ciągle się budząc jego towarzysze, Hengo tylko i Sambor czuwali.

Jadąc to samym rzeki brzegiem, to się spinając nieco ku górze – łąkami naprzemiany i gąszczami, które konie łamały, liście w pyski chwytając – posuwali się dalej coraz milczący... Tuż na prawo stały lasy ciemne, podszyte, szeroko zwieszając gałęzie. Gdzieś z tych głębi puszczy, gniły strumień, trawą i mchami obrosły dobywał się szemrząc i ciekł do rzeki wąskim korytem.

Ćwierć dnia tak już upłynęło, gdy na pagórku ujrzeni kamień wielki, a dokoła niego pomniejsze ustawione jakby na straży. Niektóre z nich już były w ziemię zapadły, na innych mech siwy porastał... Stary, zgarbiony człek, z kijem białym, około kamienia się przechadzał. Było to prastare uroczysko, gdzie

niegdyś składano ofiary... Stary około kamienia stanawszy ręce wyciągnął, coś mruzczał i ziele jakieś nań rzucał. Lecz wprędce go z oczów stracili.

Dalej sypana mogiła wysoka stała u brzegu, cała darnią porośła, u dołu zarzucona zielonymi gałęzmi. Tu każdy, ułamawszy więc po drodze, rzucił ją wymijając, Hengo tylko, choć patrzył ciekawie, wstrzymał się od tej ofiary.

– Co to za mogiła? – zapytał Sambora.

– Leszkową się zowie – odparł chłopak. – Tu kneź stary, broniąc wrogowi przejścia rzeki, strzałą rażony zginął. Wojsko się rzuciło, najezdnika rozbiło, a panu swemu po garści rzucając ziemię, mogiłę usypało... Pod mogiłą skarby wielkie być mają, których duchy pilnują. Raz w rok na Kupałę otwiera się mogiła i może wniknąć po skarby kto chce, a brać ile mu się podoba; ale musi spieszyć z powrotem, bo gdy kury zapieją, zamyka się mogiła i niejeden już w niej pozostał.

Samborowi ze smutku na baśń się zebrało, mówił więc, jak jeden chciwy skarbów parobek podkraść się nocą kupałową pod mogiłę, jak w nią wszedł, znalazł gmachy wielkie, cudne izby pełne złota, i jak coraz idąc dalej, nie opatrzył się, aż kury zapiąły... I rok go cały nie było... Dopiero gdy się znowu otwarła, wyszedł z niej żywy, ale niemy, gdyż duchy mu usta zamknęły, aby ich tajemnic nie zdradził.

Dalej kraj było widać ludniejszy nieco, w prawo i lewo po gajach dymiło się w chiżynach¹¹⁰, nad rzeką spotykali gęsto

¹¹⁰ *chiżyna* (z ukr.) – chata, chałupa. [przypis edytorski]

wygasłe ogniska i końskich kopyt ślady... Tu i owdzie leżała kość biała...

Około południa stanęli w dębinie zielonej, gdzie i pasza dla koni była obfita, i woda blisko – dla wypoczynku. Tu zsiadłszy, wszyscy pokładli się w cieniu, a kto co miał, spożywał. Sambor dobył białego kołacza Jagi, popatrzał nań i schował – głodnym być wołał, niż go stracić... był to kołacz domowy!

Słońce jak wczoraj dopiekało, najmniejszy prawie powiew wiatru nie ochładzał skwaru. Naokół znowu nic więcej widać nie było, jeno lasy i gęstwiny, łąki i moczary. Gdzieś w kotlinie leżało jezioro jasne, lśniąco jak oko, zdając się przyglądać krajowi, nad nim jak rzęsy sterczały trzciny i jak brwi pasy lasów stały.

W pół dnia wszystkie nawet ptastwo ucichło, brzęczały tylko koniki i polatywały baki, milczenie wielkie do snu kołysało. Smerda drzemał, Hengo brwi ściągawszy coś rachować się zdawał, gdy Sambor w dali głos ludzki posłyszał.

Nie widać było nikogo, uszu jednak dolatywało śpiewanie powolne, które się coraz zbliżało. Cichy to był i stłumiony śpiew, drżącym nucony głosem samemu sobie, brzęk jakby poruszanych strun mu towarzyszył. Słów jeszcze nie mogło pochwycić ucho – ale nuta była żałosna, grobowa, smętna.

Wszyscy ciekawie oczy zwrócili ku brzegowi rzeki, skąd się głos dobywać zdawał.

Dołem, wybrzeżem piaszczystym, szedł starzec ślepy, mały

go chłopak prowadził. Włókł się z wolna, w rękę trzymał gęślę¹¹¹, po strunach jej przebiegając ręką drżącą. Smerda, który się przebudził, ujrzawszy go z góry, zawołał:

– Bywaj tu, stary!

Ślepiec się zatrzymał, z wolna głowę podniósł i oczy białe, krwawymi obwiedzione powiekami.

– Bywaj tu stary, chodź, spocznij – powtórzył smerda – placka przełamiemy z tobą i posłuchamy pieśni.

Śpiewak struny przebiegać zaczął palcami, ale pieśń się przerwała. Staął, myślał, potem chłopcu dał znak kijem i ku wzgórzu iść zaczęli.

– Dokąd idziesz, stary? – spytał smerda.

– Albo wiem? – po świetle... – rzekł oślepy. – Z pieśniami idę od chaty do chaty.

To mówiąc, miejsce, na którym stał, począł kijem obmacywać i ostrożnie osunął się na ziemię. Gęślę złożył na kolanach, dumął. Pomilczawszy nieco, jakby życie jego pieśnią być musiało, jakby mu ona, nie wylewając się z piersi, nabrzmiwała w nich, jakby mu była tchnieniem... bez którego ostać się nie mógł, niezrozumiale, cicho, sam sobie nucić zaczął.

Milczeli wszyscy. Jeden z pachołków dobył z torby placek i położył go na rękach starego, który powoli do ust zaniósłszy, gryźć począł. Chłopak, który go wodził, poszedł do rzeki garnuszkiem zaczerpnąć wody.

Sambor siadł przy nim.

¹¹¹ gęśla a. gęśle – ludowy instrument strunowy, smyczkowy. [przypis edytorski]

– Stary Słowanie – rzekł – na noc... zajdźcie do Wiszowego dworu... Tam was ugoszczą radzi.

– Na noc? do Wiszowego dworu? nie moimi nogami – rzekł ślepiec. – Nogi stare i starte. Dybię nimi powoli... jak ślimak się wlokę... A co ujdę kawał drogi, sięść i spocząć każą nogi. A do Wisza, do starego, daleko... daleko...

– Przecie wy tam zajdziecie – mówił Sambor. – A gdy u wrót staniecie, pozdrówcie ich tam od tego, co dziś ich pożegnał.

– Wy z Wiszowej zagrody? – spytał stary. – A któż z wami, a wielu... czuję ludzi dokoła? Chociaż oczy nie widzą...

Wtem smerda wtrącił.

– Kneziowscy ludzie... Hej! do grodu jedziemy, do stołba. I ten z nami. A wy byliście na grodzie?

– Dawniej... dawniej! – rzekł stary. – Teraz tam nie ma po co... Tam mieczyki śpiewają i żelazo gra... Pieśni słuchać nie ma czasu.

Westchnął.

– A po co kneziowi pieśń? – zawołał smerda. – To babska rzecz.

– A wojna... wojna – jakby sam do siebie mówił ślepy Słowan – wojna dzikich zwierząt sprawa. Póki obcy duch nie zawiął na Polany, orali ojcowie i śpiewali, i bogów chwalili w pokoju, oręża nie potrzebowali, chyba na zwierza...

Smerda się rozśmiał.

– Eh-e! – rzekł. – Nie te to czasy!

– Nie te święte czasy, co bywały – ciągnął śpiewak ślepy. –

Nie te czasy, gdy u nas gęśli bywało więcej niż żelaza, a śpiewu niż płaczu. Dziś ślepy gęślarz lasom pieje¹¹², a słuchać go nie ma komu. Niech się uczą lasy, jak żyli ci, co śpią po mogiłach, po kamiennych. A jak pomrą starzy, pieśń z nimi pójdzie do ziemi, synowie o sprawach ojców wiedzieć nie będą – zamilkną mogiły. Stary świat padnie w ciemności...

Mówił tak z wolna, a słowo w pieśń przechodziło nieznacznie i nie postrzegł się, jak nucić zaczął. Ręce chleb porzuciwszy, same po strunach biegać zaczęły, a struny skarżyć się i płakać.

– Jam może śpiewak ostatni – rzucił Słowan. – Mnie oczy wybrano w młodości, aby dusza w drugi świat patrzała. Jam wszystkie ziemie zwędrował, a nie widział żadnej, od Dunaju huczącego do Białego Morza, od Chorbatych Gór¹¹³ wierzchów, aż do lasów u Łaby. Niosły mnie nogi, nie oczy, bez drogi; gdzie dola wiodła, gdzie się ludzi zebrała gromada. Siadałem na ziemi, stawali kołem nade mną, niewiasty plaskały w dłonie, starzy po ojcach płakali. Szedłem od uroczyska do uroczyska, od mogiły do mogiły, od źródła do źródła... hen, hen, aż gdzie się kończy ludzka mowa.

Zamilkł. Smerda pół słuchał, pół drzemał. Gdy ustał, odezwał się.

– Śpiewaj, śpiewaku, dalej.

– O czym wam śpiewać? – mruczał jakby sam do siebie ślepiec. – Wam pieśni innej potrzeba, wy starej nie rozumiecie.

¹¹² *pieje* – tu: śpiewa. [przypis edytorski]

¹¹³ *Chorbate Góry* – Karpaty. [przypis edytorski]

O czym śpiewać? O praojcach znad Dunaju, o prapraojcach ze wschodu, o braci znad Łaby i Dniepru? Wy ich nie znacie, o białych i czarnych bogach, o Wisznu i Samowile?

Głos mu się zniżał, głowa trzęsła...

– Dawniej bywało inaczej! Śpiewaka witały gromady, wiodła starszyczna pod święty dąb, nad święty źród, na horodyszcze¹¹⁴ wiecowe, na żalniki¹¹⁵ mogilne. Starzy i młodzi stawali kołem, słuchali... Miód i piwo przed ślepym stało – wianki mu kładli na skronie. Na grodzie kneź dawał mu ławę okrytą, miejsce poczyste¹¹⁶; dziś my pastuchom śpiewamy na wygonie... o głodzie i wodzie.

– Śpiewaj no, stary... śpiewaj! – rzekł smerda.

– Śpiewaj nam! – powtórzyli za nim drudzy...

Słowa w struny uderzył.

– Hej! hej – posłuchajcie... starej pieśni znad Dunaju.

Cicho się stało dokoła – on nucił słabym głosem:

– Zza rzek siedmiu, zza gór siedmiu, znad Dunaju pieśń ta leci.
Król dunajski w wielkiej trwodze; z wielkim ludem Czytaj idzie.
Zabrakło mu ziemi doma; siołom¹¹⁷ roli, bydłu paszy i do Boga
Wiszny¹¹⁸ woła: lud umiera, daj mi ziemi – Bóg się ulitował,

¹¹⁴ *horodyszcze* – miejsce, na którym stał dawniej gród. [przypis edytorski]

¹¹⁵ *żalnik* (daw.) – cmentarz. [przypis edytorski]

¹¹⁶ *poczestny* – będący oznaką czci wobec kogoś; godny, naczelny, najważniejszy. [przypis edytorski]

¹¹⁷ *sioło* – wieś. [przypis edytorski]

¹¹⁸ *Wisznu* – w hinduizmie bóg przenikający wszystko i wszystko w sobie zawierający, związany ze światłem, ogniem i Słońcem. [przypis edytorski]

rzecze: tam, za Dunaj idź z gromadą, na pustynie, na szerokie. A ty, królu na Dunaju, nie waż mu się stać oporem. Ręce łamie król w rozpacz! Czytaj zawojuje ziemię, Czytaj państwo mi podbije! Czy pokojem iść, czy wojną? czy mu opór stawić zbrojno? Dziewki woła: Radź, dziewczyno... Kamiana mu radzi. Królu – wojsko postaw nad Dunajem. Nie zwojuje ludu twego. Czytaj idzie, tłumy za nim; kędy przyjdzie lud zabiera, iść mu każe. Dziewki płaczą, on im rzecze: łyzy otrzyjcie, wiodę was w zielone kraje, kędy dzicy ludzie żyją, roli orać nie umieją... Będziem uczyć i panować... Dziewkom oschły łyzy i idą... Idą, idą, Dunaj biały... stał na drodze... z wzdętą wodą... Lody na nim roztajały... Król Dunaju strzeże brzegu. Wojsko wielkie – jak przejść wody? Jak pokonać wojska siłę? Myśli Czytaj, myśli, woła: na kolana, do modlitwy, Bogu módlcie się Koladzie, Samowile, co wiatr trzyma. Niech rozpuści wiatrom wodze, niechaj Dunaj lodem stanie. Przejdziemy go suchą nogą. Padli na twarz przed Koladą, modlą się do Samowiły. Wiatry przyszły, Dunaj ścięły, wojska idą suchą nogą. Król dunajski słuchał rady. Wojsko zebrał, stoi w polu, u Dunaju legł obozem... Samowiła wiatrem smaga i na Dunaj wieje mrozem, a gorącym wojsko pali. Przeszli Dunaj... A gdzie stało wojsko, kośćmi pobiełało. Kamiana patrzy i płacze. Czytaj wnet zajmuje ziemię, pługi idą w żyzne pole, bydło ryczy, domy stają, ludzie uczą się siać ziarna. O Kamiano, rada marna! przeciw Bogom nic nie nada¹¹⁹. I Kamiana leci błada, w biały Dunaj głową pada. Pieśń się o tym

¹¹⁹ *nie nada* (z ros.) – nie wolno (w domyśle: czynić). [przypis edytorski]

ludziom pieje. Bóg wam zdrowia niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Skończył śpiewak, panowało milczenie.

– Inną jeszcze – zawołał smerda. – Nie żałuj nam, stary!

Ślepiec znowu uderzył w struny.

– Dłuższa to pieśń, od Chorbackich Gór – rzekł – młodsza pieśń, może się wam spodoba lepiej.

I nutę wziął też inną, rażniejszą a ognistszą, i słowa mu żywiej biec zaczęły, a białe oczy połyskiwały straszno.

– Wiśło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje? Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łzy padają? Lud u brzegu ręce łamie, ręce łamie i ratunku woła, a ratunku nie ma... Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy to pochłonie, co pochwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dysze¹²⁰ w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc i dzień spoczynku nie ma – pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu goni z trwogą... Trzody wypenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy nie syty, ciągle ryczy, ciągle dyszy. – Czymże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebije, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie i piorun go nie zabije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie przykryje. Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, duma, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. Jak mam pożyć¹²¹

¹²⁰ *dysze* – dziś popr. forma 3 os. lp: dyszy. [przypis edytorski]

¹²¹ *pożyć* – tu: zmóc, zwalczyć, pokonać. [przypis edytorski]

tego smoka, jak potworę tę umorzyć¹²²? Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... Rady! Rady! Płacze, ręce załamuje. – Jak mam pożyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc¹²³ rośnie, siedem razy się roztopia, aż Krak Skubę wołać każe. Skubo, człecz, rób coś rzekę¹²⁴: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wyrzuć do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgla, nabierz czerwonych. Wypchaj ścierwo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij¹²⁵ zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali, niech pęknie dzika potwora. Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera: Naści strawę, żmiju-smocze. – Połyka straszna paszczyka, ryknie, aż drży góra cała i gród z stołbami się chwieje. W smoku palą się wnętrzności, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadał cały i rycząc rozpukł¹²⁶ i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii strasznej ucina,

¹²² *umorzyć* – tu zabić; sprawić, żeby ktoś umarł. [przypis edytorski]

¹²³ *miesiąc* (daw.) – księżyc. [przypis edytorski]

¹²⁴ *coś rzekę* – co ci mówię. [przypis edytorski]

¹²⁵ *żmij* – tu ogólnie: gad. [przypis edytorski]

¹²⁶ *rozpukł* – rozpękł; pękł; por. wyrażenie: śmiać się do rozpuku. [przypis edytorski]

na żerdź go wtyka wysoko. Patrzaj narodzie, mój miły, że się tve męki skończyły. Ptacy niosą wieść wesołą, wiatry polami z nią biega, niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie¹²⁷, niech dzieci idą na łąki – nie ma już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze gród się kamienny podnosi, tam Krak króluje spokojny, na cztery strony spoziera, cztery zwojował narody. A broda rośnie mu siwa i już mu piersi zakrywa, już i do kolan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi, król wie, że umrzeć mu pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów ma już u boku i córkę Wandę ma jedną. Broda dorosła już ziemi. – Przyszła już na mnie godzina; weźcie królestwo na dwoje. Siostrze dać królewskie wiano i życie w braterskiej zgodzie. Płacz po swym ojcu, narodzie! Naród zapłakał i ciało niesie na górę Lassotę, na stosie go posadzili, tryznę¹²⁸ z obiata¹²⁹ sprawili, popioły Kraka zebrali, każdy wziął po garści ziemi, szli i sypali, dopóki mogiła w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem. I Krak ma ziemi połowę i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na brata z trwogą, starszy mi kark zgniecie nogą. Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierza dzikiego, jedźmy razem w puszcę ciemną... będziemy gonić jelenie, będziemy zabijając niedźwiedzie. Siedli na koń, siostra z wieży prosi: Nie jedźcie

¹²⁷ *wyżenie* – wypędzi (na pastwisko). [przypis edytorski]

¹²⁸ *tryzna* – stypa; starosłowiański uroczysty obrzęd pogrzebowy obejmujący ucztę, wspomnienie zmarłego oraz urządzone na jego cześć igrzyska. [przypis edytorski]

¹²⁹ *obiata* – ofiara składana bogom u daw. Słowian. [przypis edytorski]

na łowy – krucy dziś krakali rano i sen miałam w nocy krwawy. Weźcie czeladź, weźcie z sobą, zwierz jest dziki, las jest czarny. A Krak śmieje się i rzecze: Zwierz i las nie straszny dla nas. Aż w puszcę ciemną wjechali – wtem młodszy staje i rzecze: Tutaj ci bracie umierać, ja całe państwo zagarnę. Rzekł i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska i Krak na ziemię upada. Co tu czynić z ciałem brata? Z ziemi wilcy je wygrzebią, po trupie poznają ludzie. Mieczem go rąbie na ćwierci, tnie go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem białym przysypuje, nogami ubija ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzyły, puszcza ich widziała ciemna; księżyc, gwiazdy nie wydały, puszczy nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknię rozdarł, ręce łamie. Biada mi – oto zwierz srogi brata zagryzł w ciemnym lesie. Krew widzicie na mej szacie, bom go bronił nadaremno. Lech wziął po nim ziemią całą i sam panował na grodzie. Na rozstajach kędy ciało białym piaskiem przysypane, jasne lilije wyrosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom jęcząc powiadają: Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła. Ludzie idą nocą drogą, dziwne głosy słyszą z trwogą, wiatr odwiewa Kraka ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna na gród się zbiera. Niechaj ten, co zabił brata, idzie z ziemi na kraj świata, kędy oczy go poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała. Ona będzie nam królową. – Jak mam być królową waszą, kiedym bogom ślubowała, że męża nie będę miała?... Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa, naród śpiewa i wykrzyka: –

Córka Kraka niech panuje!

Na granicy, na rubieży, Niemiec siedzi jak lis w jamie, wieść do niego szybka bieży, dziewczka siedzi na stolicy, wianek ma miasto¹³⁰ korony, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana nie ma!

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbronny kraj, na wojnę. I stanęli na granicy, i śle posły do dziewczicy: – Mężem twoim chcę być, Wando, lub twe ziemie ogniem, mieczem przejdziem, spalim i wysieczem. – Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą tarcze, chrzęszczą bronie. Przyszły posły, Wanda staje. – Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? Wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa. Posły poszły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły, Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzaj Niemcze, licz swe siły. Spojrzał Rytgar, kędy były, ani śladu ani słychu, pierzchło wojsko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przeszywa, królujże, Wando szczęśliwa. Zwycięska wraca królowa... i na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

– Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowała, na raz oddam im je całe; niż o rękę bić się mają ci, co ziemi pożądata. Wiedźcie mnie do Wisły brzegu, nad głębinę, nad wir wielki. – Rzekła i w Wisłę się rzuca. Naród płacze swej królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę,

¹³⁰ *miasto* (daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

i pieśń o niej wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje – a pieśń przy mnie niech zostaje...

Nieopodał siedzący Hengo, gdy o Rytgarze zaśpiewał stary, jął dyszeć i sapać tak, że go ślepiec poczuł. Wnet też, ledwie dokończywszy, począł się kijem o ziemię opierając, podnosić. Pomogli mu Sambor i pacholcy.

– Cóż ci to, stary? – zapytał smerda.

– Obcegom poczuł – rzekł trzęsącym głosem Słowan – przed obcym śpiewałem... jakbym miód lał w kałużę!

I wnet mrużąc niespokojny, z nasępionymi brwiami, wyrwać się zaczął do pochodu, chłopca przed sobą kijem gnając. Nie śmiano go wstrzymywać. Parę razy gniewny odwrócił głowę i oddalił się szybko, dłonią ucisnąwszy struny, aby dźwięku wydać nie śmiały, usta zacisnąwszy, aby się z nich głos nie dobył.

V

Cała też gromada do koni zaraz ruszyła, bo czas było w dalszą drogę. Tuż i rzekę w bród przebywać było potrzeba, a Gerda na swojego konia wziął Sambora... Na przeciwnym brzegu widniało pólko zasiane i obrzucone zasiękiem¹³¹, ale niedźwiedzie go nocą splądrowały. Las był tu przerzedzony, pnie w nim sterczały poopalane. Dalej pasło się koni stado i zbrojny człek go pilnował z rogiem u pasa, a pałką nasiekiwaną¹³² w rękę. Znowu przejechali gaj i tu dopiero szersza pola przestrzeń przed nimi się odkryła. Nieopodal już widać było jezioro wielkie, w którym się słońce zachodzące przeglądało. Nad wodami jego ptastwo unosiło się stadami, czołna stały u brzegów, inne przesuwały w dali.

Hengo i Sambor, podniósłszy oczy, ujrzeli w odległości wysoką, szarą wieżę wyniosłą: stołb grodowy, który okolicy panował. Stał nad brzegiem samym, posepny jakiś i straszny, a dokoła pod nim cisnęły się zręby budowli, szopy i chaty.

– To kneziów gród¹³³! – z dumą zawołał smerda, zwracając się ku Niemcowi i wskazując stołb w oddaleniu. – Przybędziemy

¹³¹ *zasięk* – tu: rodzaj ogrodzenia z gałęzi, nie łączonych ze sobą, lecz luźno rzuconych. [przypis edytorski]

¹³² *pałka nasiekiwana* – pałka drewniana ponacinana tak, aby z jej główicy sterczały ostre drzazgi. [przypis edytorski]

¹³³ *kneziów gród* – daw. forma D. lp; dziś: gród knezia. [przypis edytorski]

na czas, nim się do snu zabiorą.

Towarzyszom oczy zaświeciły, Sambor ponuro spojrzął przed siebie, konie zaczęto żywiej popędzać, tak że parobczak biegiem je doganiać musiał. Niemiec spode łba rozpatrywał się bacznie.

W miarę jak się zbliżali, gród coraz wyraźniejszym się stawał. Wieża z szarych kamieni w oczach im rośla; u podnóża jej rozeznawali dwór malowany, chaty, zabudowania, szopy, w części wałami osłonięne. Do muru stołbu przypierały obszerne, z drzewa wzniesione domostwa, z dachami ze szczap drewnianych, przez które teraz miejscami dym się dobywał. Około grodu ludzi i koni widać było gromady i stada. U brzegu poili było parobcy. Na wałach chodzili zbrojni ludzie, w żelaznych czółkach na głowie, z dzidami w ręku...

Wał i rów głęboki oddzielał od lądu grodzisko, przezeń most zamykany prowadził warowny i hać¹³⁴ na jeziorze... Jechali długo, nim nareszcie pod wrota ciasne przybyli; poznano smerdę i otworzono je zaraz; a za nim jadącego ujrzawszy Hengę, ciekawi cisnąć się zaczęli i dopytywać.

Niemiec i teraz nie okazywał po sobie trwogi, z konia zlaźł, cugle wziął w rękę i postępował spokojnie za swym przewodnikiem. Minawszy hać i mosty, weszli w obszerne podwórze, na którego końcu jednym stała wieża, niemająca wnijścia¹³⁵ od dołu, bo do niej dostawano się tylko po drabinach. Tuż do niej przypierały kneziowskie izby i komory, a przed nimi

¹³⁴ hać – grobla z pni i gałęzi drzew. [przypis edytorski]

¹³⁵ wnijście (daw.) – wejście. [przypis edytorski]

ciągnęło się podsienie długie, na drewnianych słupach oparte. W pośrodku dworu, którego ściany i słupy białe, żółte i czerwono okraszone były, wznosiło się szersze wnijsie, na grubszych wsparte podporach, misterniej rzeźbionych. Tu wokół stały ławy szerokie, a z tego siedzenia podwórze całe, wszystkie budowy, wały, jezioro i bramę widać było.

Gdy smerda z ludźmi swymi zajeżdżał na podwórze, w którym się dość kręciło czeladzi¹³⁶, u wnijsia stał właśnie w kołpaku¹³⁷ z futrem i piórem białym, średniego wzrostu, przysadzistej postawy mężczyzna z twarzą czerwoną, czarnym włosiem długim, rzadką brodą, dzikim a ostrym wejrzeniem. Zdawał się stąd dozorować, co się na zamku działo. Sam strój jego oznajmywał¹³⁸ pana, oblicze więcej jeszcze. Suknię miał tym prawie krojem, co wszyscy, z szerokimi rękawami, ujętą pasem nasadzany miosiężnymi i srebrnymi ozdobami, szyję obnażoną, na nogach skórznie sznurami wełnianymi, czerwonymi poopasywane. Lecz suknia była z cienkiej tkani, lamowana bogato, za pasem tkwił miecz w świetnej oprawie, a na łańcuszku takież nóż wisiał.

Stojący ręce obie założone miał za pas, czapkę na oczy nasuniętą, brwi zmarszczone i postawę groźną. Zaledwie go z daleka ujrzawszy, spokorniał smerda, z konia zeskoczył, głowę

¹³⁶ *czeladź* – służba we dworze. [przypis edytorski]

¹³⁷ *kołpak* (z tur.) – wysokie, spiczaste zakończone nakrycie głowy bez daszka, obszywane futrem. [przypis edytorski]

¹³⁸ *oznajmywać* – dziś: oznajmować a. znamionować. [przypis edytorski]

obnażył i pochylony poszedł ku niemu. Zbliżając się przygiął niżej jeszcze, rękę do stóp pańskich przykładając.

– A kogóżeś to pojmał na drodze? – zawołał głos gruby i schrypły. – To nie swój?

– Znad Łaby, Niemiec, przekupień – począł smerda stłumionym głosem. – On się tu pono nie pierwszy raz po kraju wałęsa... Znalazłem go w gościnie u kmiecia Wisza, kto wie, w jakich naradach? Dlatego kazałem mu jechać za sobą. Ale mi się nie opierał wcale, owszem uręczył¹³⁹ mi, że był do Miłości Waszej wysłany i pragnął jej czołem uderzyć...

Milcząc popatrzał kneź na mówiącego i na Henge, który stał z dala, jakby w oczekiwaniu. Nie dał zrazu odpowiedzi żadnej i po długim namyśle zbył smerdę obojętnie.

– Niech tam na waszych rękach zostanie... u mnie dziś goście, czasu nie ma... nie dać mu zażyć głodu, nakarmić i napoić... jutro rano przyprowadzicie go do mnie...

Smerda powtórnie do stóp się pokłonił.

– Od kmiecia Wisza wziąłem parobka, zdrów i silny, będzie oszczep i dzidę nosił. Ludzi mamy mało, miłościwy panie... Sykał stary wąż, ale musiał go dać...

– Sykają oni wszyscy – mruknął kneź – aż ja im pyski pozatulam i milczeć a słuchać nauczę... Znam ja ich, stara, wilcza swoboda wije się im po głowach... Ślepe dziady, pieśni o niej śpiewając, ludzi buntują... Dicz tę w pęta wziąć trzeba...

Smerda się nie ważył odpowiadać, stał z pochyloną głową

¹³⁹ *uręczyć* – dziś: *zareczyć*, *zapewnić*. [przypis edytorski]

i zwieszonymi rękami.

– Wiesz! Wiesz!... – ciągnął dalej, przechadzając się po wystawie¹⁴⁰, kneź – znam ja go, on się tam na puszczy sądzi kneziem¹⁴¹ i panem, a mnie znać nie chce...

– I bogaty – szepnął smerda. – Jaki tam wszystkiego dostatek! Ludzi, stada, dobytku, piwa i miodu... Kto go wie, może nawet kruszcu, srebra i złota! Ze wszystkimi kmieciami tak, miłościwy panie...

– Do czasu... – zawarczał kneź i usiadł na ławie.

Smerda poszedł spełnić rozkazy. Hengo też czekał na nie, nie oddalając się od sakwy swojej, na którą wiele chciwych oczu skierowanych było.

– Miłościwy pan aż jutro dopiero do siebie was przypuści – rzekł mu smerda po cichu. – Macie czas spocząć i język nagotować. Przykazał mi, abym was głodem nie morzył, a u nas też nikt z niego nie umarł, chyba w lochu pod wieżą... – dodał z uśmiechem. – Dziś – szepnął na ucho Niemcowi – dziś jego miłość ma chmurne czoło i oczy krwawe... Lepiej, że was na jutro odłożył... – Zbliżył się jeszcze bardziej do ucha Hendze. – Nie dziw, że trochę gniewny, wczoraj mu, słyszę, synowca¹⁴² przyprowadzili, który był zbiegł i z kmieciami się

¹⁴⁰ wystawa – tu: ganek; zadaszona przybudówka przed wejściem. [przypis edytorski]

¹⁴¹ on się (...) sądzi kneziem – uważa się za kniazia. [przypis edytorski]

¹⁴² synowiec – syn brata. [przypis edytorski]

wąchał... Trzeba mu było, sadząc¹⁴³ do ciemnicy, oczy wyłupić, aby szkodliwym nie był. Zawsze to swoją krew... i Leszek.

Smerda potrząsał ramionami.

– A i ludzi jego dwu musiano powiesić... Szkoda, zdaliby się na wojaków, zdrowi byli, ano niebezpieczne wilki...

Smerdzie czy się gadać chciało, czy sobie Niemca zaskarbiał, ciągnął dalej uwagi swoje.

– Niełatwe tu panowanie, lud niedobry... Z kmieciami nieustannie spory, ale ich po trosze kneź wytrzebi, karmi, poi... za język ciągnie... a w końcu...

Rozśmiał się dziko i spojrział ku domostwu.

Hengo miał też czas rozpatrywać się po dworze, a że wiele świata i grodów widywał, dlatego może tu nic go nie dziwiło i strachem nie ogarniało, choć twarzami dzikimi był otoczony i ludzie zdawali się tylko czekać skinienia, aby się rzucić na niego. Obchodzili go, przypatrywali się i słyszał, jak dokoła powtarzano: – Niemy, niemy!

Wtem, gdy tak stał, jak gdyby na coś oczekując, ujrzał schludnie odziane pacholę¹⁴⁴, z długimi włosami na ramiona, które mu kiwnąwszy głową dało znak, aby szedł za nim.

Gerdzie polecisz konie, Hengo, posłuszny, w trop udał się za przewodnikiem.

Przez szeroką bramę w ścianie dworu weszli z nim na drugi

¹⁴³ *sadząc* – tu: wsadziwszy. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *pacholę* – starsze dziecko (najczęściej chłopiec), którego jeszcze nie można zaliczyć do młodzieży. [przypis edytorski]

grodu dziedziniec. Tu inaczej jakoś i nie tak po wojennemu wyglądało. Podsienia malowane były jasno i ku słońcu obrócone, na sznurach w nich wisały schnące bielizny i odzież niewieście. Kilka starych drzew rośło w pośrodku. W głębi widać było przesuwające się białogłowy i bawiące w piasku dzieci.

Pacholę, palec na ustach położywszy, z wolna prowadziło Henga ku drzwiom w bocznym dworze, a gdy się te otwały, znalazł się w pięknej izbie, której okiennica szeroko otwartą była na jezioro. Brzask wieczora wchodził tędy do środka.

Znać było mieszkanie niewieścią przystrojone ręką.

Przepełniała je woń jakichś ziół jakby świeżo powiędłych. Na drewnianym stołku przykrytym poduszką, naprzeciw komina, na którym ogień się palił, siedziała niewiasta w sukni wełnianej, fałdzistej, w zasłonach białych, otaczających twarz i głowę, na której licu resztki wielkiej niegdyś piękności znać było. Z niej teraz tylko para oczu czarnych, pałających została. Obok na małej ławce drobne garnuszki, miseczki i kubki stały i zioła leżały pękami nagromadzone.

Z ciekawością patrzyła na wchodzącego, gdy ten pokornie kłaniał się jej do samej ziemi – uśmiechnęła się i odezwała doń w języku lasów Turyngii¹⁴⁵, mową, która serce Hengi rozradowała.

– Skąd jesteś?

¹⁴⁵ *Turyngia* – kraina w środkowej części dzisiejszych Niemiec (obejmująca m. in. Weimar, Jenę, Erfurt i Eisenach); od V w. księstwo plemienia Turyngów, w połowie VI w. podbite przez Franków, schrystianizowane w VIII w., od początku w. IX (ok. 804 r.) jedna z marchii państwa Karola Wielkiego. [przypis edytorski]

– Miłościwa pani – rzekł Niemiec oglądając się po izbie, w której ciekawe kręciły się niewiasty – jestem zza Łaby, ale nawykłem włóczyć się po świecie, a do domu rzadko zaglądam... Trochę tutejszego języka umiem, więc wożę im towar z zachodu i mieniam go z nimi.

– Mieniasz? Na cóż? – spytała niewiasta. – A cóż z tej dziczy i niedzy wynieść można? Złota ni srebra, ni żadnego kruszcu nie mają... jak zwierzęta po lasach żyją... Miast u nich nie ma ani wsi nawet... a ludzie...

Westchnęła. Hengo się ciekawie wpatrywał w siedzącą, sięgnął nieznacznie do kieszeni, dobył z niej pierścień z kamieniem i z dała go ukazał. Ujrzawszy go zerwała się z siedzenia niewiasta, dała znak ciekawym, aby odeszły precz, odprawiła pacholę za drzwi i żywo przybliżyła się do Niemca. Ten przykląkł na jedno kolano.

– Ty mi przynosisz posłanie od mojego ojca? – zawołała.

– I od synów waszych, miłościwa pani – dodał powstając Niemiec.

– Od synów – powtórzyła ręce załamując radośnie i podnosząc je nad głowę. – Mów, mów mi o nich długo, wiele...

Siadła znów w krzesło, opierając się na dłoni, to spoglądając na Hengę, to na ogień, przy którym zioła się jakieś smażyły, a woń ich ostra izbę nappełniała.

– Ojciec stary – mówił posłaniec – miłość waszą pozdrowia. On mi na znak dał ten pierścień, aby wiara dana mi była.

Zbliżył się na krok i zniżył głos nieco.

– Dochodziły tam wieści różne... ojciec miłości waszej był niespokojny... Gotów jest przybyć na pomoc z ludźmi, gdyby jakie groziło niebezpieczeństwo... Z tym mnie posyła.

Niewiasta zmarszczyła brwi, biała jej ręka podniosła się z oznaką lekceważenia.

– Kneź wam powie sam, czy mu tego potrzeba – rzekła – lecz damy rady i bez pomocy przeciw stryjom, synowcom i kmieciom... Są różne sposoby...

To mówiąc, jakby mimowolnie popatrzała na ogień i zioła.

– Kmiecie od dawna się burzą, ale już ich wielu nie stało. Ubywa co dzień... Nie boim się ani ich, ani nikogo, gród mocny, ludzi dużo... A mój pan miłościwy umie ich pożyć. Mów mi o dzieciach... Widziałeś ich obu?

– Na me własne oczy – rzekł Niemiec. – Piękniejszych młodzianów nie ma na świecie, ani lepiej robiących bronią i koniem... Wszyscy się im dziwią...

Niewieście rozjaśniło się lice.

– Mogliby już do domu powracać – dodał Hengo – aby stanąć u boku miłościwego pana...

– Nie, nie! – przerwała siedząca. – Na to nie czas jest jeszcze. Nie chcę, aby patrzyli, co tu się dziać musi, nie chcę, aby zawczasu z własną krwią do walki występowali... Przyjdzie spokój wkrótce, naówczas ich zawołamy... A! Ja ich nie widziałam tak dawno – dodała. – Odebrano mi ich dla wojennego rzemiosła, by się go u dziada i u naszych uczyli... Tyle lat! Tyle lat... Widziałeś ich obu? – powtórzyła.

– Niejeden raz – mówił Hengo. – Choć parę lat starszy, kneź Lech jak rówieśnik obok brata wygląda. Oba silni i zdrowi... Ciskają włóczniami jak nikt... strzelają z łuków do ptasząt... najdziksze dosiadają konie...

Błyszcząły oczy matki.

– Piękniż są?

– Nie mogą być piękniejsi nad nich! – odpowiedział Hengo.
– Wzrost wyniosły, twarze jasne, modre oczy, jasne włosy...

Uśmiech poigrał po ustach słuchającej, ale zarazem dwie łyzy perliste zbiegły po twarzy bladej.

Cichsza zaczęła się długa rozmowa, gęsto posypały pytania...

Mrok już padał i tylko światło ognia oświecało izbę, a Niemiec stał jeszcze i nie mógł nasycić ciekawości macierzyńskiej; w ostatku go odprawiła skinieniem: – Do jutra.

Sambora puszczono swobodnie w podwórcach, mógł się też w nich rozglądać. Na wstępie schwycił go Kos, pacholek dawniej mu znany, i poprowadził do komory, w której się drużyna¹⁴⁶ mieściła. Nie było jej teraz, gdyż jedni na wałach, drudzy na usługach na dworze, inni na haci stali, a gromadę całą zasadził był kneź w bocznej izbie, uzbrojoną, nie bez celu. Miał kmieci w gościnie...

Kos tak nienawidził knezia, któremu służyć był zmuszony, jak większa część dworni¹⁴⁷ jego z lasów gwałtem pobranej. Z Samborem zrozumieli się od słowa...

¹⁴⁶ *drużyna* (daw.) – oddział wojska. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *dwornia* – służba dworska, czeladź. [przypis edytorski]

– A i ciebie tu do tej wilczej jamy wciągnęli – szepnął pacholek.

– Siłą, mocą – odparł Sambor.

– A wiesz ty, jakie tu życie? – spytał Kos.

– Czuję – rzekł Sambor.

– Niewola! Niewola!... – począł wzdychać parobek. – Robią nami jak wołami, znęcają się jak nad psami. Psom kneziowskim ci też lepiej.

Jęli¹⁴⁸ tedy wzdychać oba, a że parno było w komorze, wyszli razem na wał pod wieżę. Kos wskazał małą dziurę w murze, która nad ziemię wychodziła.

– Synowca tam spuścili wczora – szepnął – oczy mu wyłupiwszy... Samem patrzył, jak go ludzie trzymali, a stary Zrzega nożem mu żrenice wyjmował... Krew jak łyzy ciekła... Nie krzyczał nawet... A litości też nie prosił, bo wiedział, że jej tu nie znajdzie... Potem go wpół ująwszy, powrozem spuścili do ciemnicy i tam mu wodę i chleb dają, póki nie zdechnie... Na dworze się odgrażają, że tak będzie i innym...

– Jeżeli się to synowcowi dostało, a cóż będzie kmieciom naszym? – ozwał się Sambor.

Kos ramiona ścisnął.

– Będzie toż samo, albo i gorzej – rzekł – jeśli w czas rozumu nie dostaną.

Ze dworu słychać było stłumioną wrzawę.... śmiechy i wykrzyki.

¹⁴⁸ *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

– Tam się to kneź weseli – mówił pacholek – bo tak się zawsze u niego zaczyna, póki do zwady i do nożów nie przyjdzie przy *biesiedzie*¹⁴⁹... I dziś trudno, by się skończyło inaczej... Wprzód tylko da sobie im podchmielić, bo po pijanemu łatwiejsza sprawa... Kmieci tak po kilkunastu ściągają na gród, łaskawie przyjmują, a mało kto wyjdzie cały... Po trochu ich wytrzebi, reszta cicho siedzieć musi.

Popatrzał ciekawie na Sambora.

– Cóż wasi na to? – zapytał.

– Ja nie wiem – rzekł ostrożny przybylec¹⁵⁰. – Pewno by radzi co robić, a nie mogą albo może czekają...

– Baby oni są! – zawołał Kos.

– Gród mocny – odezwał się przybyły.

– Mocny – rzekł Kos – ale i kamienie się walą... Jak postoi, mocniejszy będzie, bo mu ludzkie czaszki za podwaliny staną...

– Drużyna liczna...

Pacholek się uśmiechnął.

– Gromady liczniejsze od niej po mirach¹⁵¹ – rzekł cicho. – gdyby rozum miały... U nas tu po niemiecku wszystko... Kneziowa, miłościwa pani, Niemkini rodem, Niemiec się też płacze niejeden. Młodsze żony i nałożnice także zza Łaby... I obyczaj załabiański, bo kneź swobody mirów i gromad znać nie chce... ani o wiecach słyszeć... Dziewki niemieckie prawią, że

¹⁴⁹ *biesiedzie* – dziś popr. forma Msc. lp: *biesiadzie*. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *przybylec* – dziś: *przybysz*. [przypis edytorski]

¹⁵¹ *mir* (daw.) – wspólnota, gmina u daw. Słowian. [przypis edytorski]

go słyszały mówiącego, jak sam sobie nie da rady, to Niemców sprowadzi.

Położył się Kos na ziemi, a że blisko okna byli od lochu, gdy ucichli, posłyszeli jęk, który nim wychodził. Głuche stękanie człowieka szło jakby spod ziemi.

– Co on zawinił? – zapytał Sambor.

– Najwięcej tym, że to krew ta sama, a on swojej krwi mieć tu nie chce, bo się jej boi... Któż wie? Zadano mu¹⁵², że z kmetami¹⁵³ się zmawiał, obiecując im dawną przywrócić swobodę...

Oba zamilkli. Poza nimi na podwórzach buchały niekiedy wrzawliwe śmiechy stłumione, a po nich następowała cisza, to niby śpiewy nucone półgłosem. Na drugim cyplu zamkowym psy jakoś żałośnie wyły chwilami i każdy głośniejszy śmiech wywoływał to skomlenie dziwne. Nad jeziorem księżyc czerwony wznosił się jakby krwią umyty... Chmura siwa jak chusta na pół mu związywała czoło. Jakiś smutek i groza były w powietrzu... Parobczak, który wczoraj słuchał nad rzeką słowika, dziś tu karmił się psów wyciem i krakaniem kruków. Czarna ich gromada podlatywała nad wieżą.

Sambor popatrzał ku górze.

– E! to nasi goście codzienni – odezwał się Kos ze śmiechem – albo też towarzysze, bo z wieży nigdy nie zlatują. Zawsze tu są pogotowiu na trupa, a rzadki dzień, żeby go nie mieli... Ku

¹⁵² *zadano mu* – tu: *zarzucono mu*. [przypis edytorski]

¹⁵³ *kmet* – kmić; samodzielny gospodarz. [przypis edytorski]

wieczorowi zwijają się niespokojne, bo czas, aby im rzucono
strawę... Zobaczycie, że i dziś darmo nie będą krakały...

VI

Hengo wyszedłszy od kneziowej pani, powrócił na pierwsze podwórze. Znalazł tu oczekującego na siebie smerdę, który go zaprowadził do ciemnej izby, gdzie czeladzi jeść dawano. Okno jej, jak wszystkie zamykane ze środka drewnianą zasuwą, wychodziło w dziedziniec, a że naprzeciw były komory kneziowskie, mogli słyszeć i po trosze widzieć, jak tam biesiadowano.

Wieczór był ciepły, w izbach duszno, wszystkie więc okna stały otworem, w jasnych izbach, oświeconych łuczywem u komina, liczna się cisnęła i gwarna drużyna.

Kneź znać lubił myśl wesołą i miód stary, bo biesiada, szmerem głośnym poczęta, wkrótce zahuczała śpiewami i wykrzykami.

Wesołość też przechodziła chwilami jakby w kłótniową walkę i spory, głosy się podnosiły warczące, głużyły je drugie, potem nastawała cisza, a po niej wybuchy coraz swarliwsze. Chociaż żadnego wyrazu pochwycić stąd nie było można, sam ton zwiastował, iż z wesołości zrodziła się zajadłość dzika... Ludzie jednak, oswojeni zapewne ze zwykłym biegiem uczt na grodzie, spokojnie słuchali tego wrzenia i huku. Hengo tylko oglądał się trwożliwie, a smerda spostrzegłszy to, rzekł doń z uśmiechem:

– Wszystko to kmiecie, żupany¹⁵⁴, starszyzna. Kneź ich poi,

¹⁵⁴ *żupan* – naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie

to im się po miodzie wyrywa czasem co zuchwalszego, on też, miłościwy pan nasz, niecierpliwy bywa... Jak się czasem zetną... co ma być? Zadławi którego pochwyciwszy... Mniej jednym będzie¹⁵⁵... Bywa, że się z sobą zajedzą, a na pięści pójdą i jeden drugiego zabije... A nam co do tego?

Śpiew z izb dobywający się oknami do ryku był czasem podobny, a śmiech do wycia, a gniew do warczenia psów, które się gryźć mają... Ale wnet ucichało i wołano tylko na głos radośnie, zwycięsko, póki znowu od słowa do słowa nie zawrzała i nie zagotowała się waśń, wśród której już i szczęk mieczów dawał się słyszeć. Hendze się zdawało, jakoby głos knezia rozeznawał, który grzmiał jak piorun wśród szumu burzy. Po nim znów nastawało milczenie.

Późno być zaczynało, księżyc się wznosił nad jeziorem, na dworze cisza, tym lepiej dozwalała słuchać wrzawy uczty. Hendze po podróży na sen się zbierało, ale smerda go trzymał na ławie i ciekawość też przykuwała do niej.

W świetlicach kneziowskich po tych wybuchach nastąpiło trochę spokoju. Z daleka widać było ręce podnoszone z czaszami, którymi miod pito... Głosy chrypiły...

Po długim milczeniu i głuchym szmerze ozwał się kneź, mówił coś śmiejąc się i szydząc... ledwie dokończył, podnosić się znowu zaczęła jakby zażegniona¹⁵⁶ przezeń wrzawa. Już

Zach.) komesa. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *mniej jednym będzie* – dziś: mniej o jednego będzie. [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *zażegniony* – rozniecony; por. podżegać. [przypis edytorski]

jej nawet ten głos nakazujący, ciągle śmiechem przerywany, pohamować nie mógł.

Kneź śmiał się, a raczej ryczał ze śmiechu, gdy inni miotali na się obelgami. Słysząc było jakby tłuczone naczynia, potem runęły ławy z łoskotem wielkim i stoły, światło zasłaniały cienie jakieś miotające się wściekle, z rękami w górę podniesionymi, krzyk okropny rozległ się w sieniach i w dziedzińcu.

Czeladź zerwała się wystraszona. W izbach kneziowskich burza jakaś szalała... stuk, łomot, łamanie, jęki, wołanie ratunku, które nagle jakby naciskiem silnej dłoni ustawało... wszystko to razem pomieszane we wrzawę dziką, a ponad tym śmiech ciągły.

Nagle Hengo wychyliwszy się, ujrzał we drzwiach u podsienia oświeconą księżycem masę czarną. Była to kupa ludzi związana rękami, nogami splątana, zębami się trzymająca, mordująca, dusząca, która jak wał¹⁵⁷ jaki wytoczyła się w podsienie, a z niego po kilku stopniach runęła w podwórzec, na ziemię. Tu spadłszy ta ciżba cała, splątana z sobą, dusić się zaczęła tarzając w piasku, gniotąc i mordując. Widać było błyszczące miecze, które gardeł szukały, i ręce duszące leżących... Kneź sam jeden stał na podsieniu, wzięwszy się w boki – i śmiał się.

Ruchoma ta masa ciał ludzkich pełzała po podwórzu, nie mogąc się rozsypać, gdzieś tam tylko został trup nieruchomy, rozkrzyżowany i splaszczony...

Na ziemi w czerwonych krwi kałużach przeglądał się księżyc

¹⁵⁷ wał (daw.) – fala. [przypis edytorski]

blady. Niedobitki pełznąc pod wschody jęczeli, kilku usiłowało wstać i padło nazad, od ran i upojenia straciwszy siły. W gardłach umierających słychać było złowrogie rżenie. Mało kto powstał z tego pobojuwiska, a po chwili tylko konwulsyjne ciał drganie zdradzało, że jeszcze w nich była resztką życia...

Gdy ucichło wreszcie, kneź plasnął w szerokie dłonie. Na ten znak smerda skinąwszy na czeladź, rzucił się z nią razem w podwórze.

– Do jeziora z tym ścierwem! – krzyknął kneź. – oczyścić podwórze!... precz z tym plugastwem... precz z tym gnojem!

Mówiąc to dopijał miodu z kubka, który postawił na ławie, i siadł na niej sam, ociężały.

Chociaż księżyc świecił jasno, zapalono smolne łuczywa i pan miłościwy mógł z podniesienia przypatrzeć się towarzyszom swej biesiady, dogorywającym od mordu i miodu.

Kilku na pół żywych stało opartych o słupy, krwią brocząc ziemię, dysząc jeszcze zajadłością, z jaką walczyli z sobą, nogami depcząc trupy... Na ziemi we krwi dogorywali rzucając się inni.

U stóp wschodów leżał starzec z włosiem białym krwią oblanym, konał i przeklinał.

– Bodajeś szczeł marnie, ty Chwoście przeklęty... ty... i krew twoja... i potomstwo, i ród, i imię... Bodajeś zginał i przepadł skrós ziemi!...

Kneź śmiał się i temu klątwami wyzywającemu duchy.

Przez wrota od drugiego podwórza widać było wyglądające

ciekawie głowy niewieście, przestraszonymi oczyma wpatrujące się w rzeź straszną.

Czeladź tymczasem ze smerdą na czele zawijała się około oczyszczenia podwórza z trupów, odzierali ich prędko z sukni, obrywali miecze i nożów pochwy, obnażali z obuwia... Potem odarte ciała nieśli na wały i z nich rzucali w jezioro nie patrząc, choć w nich były życia reszty. Słysząc je było spadające w wodę z pluskiem i śmiechy towarzyszące za każdą razą¹⁵⁸ temu pogrzebowi... bo czeladź bawiła się tym ciskaniem do jeziora... Kruki z wieży zerwawszy się, poleciały nad wodą i zaczęły krążyć nad nią, podniósłszy krzyk i wrzawę.

Hengo siedział na ławie osłupiały, ruszyć się nie śmiejąc, odrętwiał patrząc... Trwoga ogarnęła go też może o samego siebie... Nie umiał sobie wytłumaczyć, co się stało, co to byli za ludzie i dlaczego kneź zamiast żalu lub gniewu, tylko śmiech miał na ustach.

Niepokój, który go ogarniał, nie dał mu dłużej pozostać w izbie ciemnej, wysunął się w podwórze oświecone księżycem i dogorywającymi na ziemi łuczywami. Stanął w dali, lecz właśnie kneź z ławy się ruszył i począł chwiejąc się przechadzać po podsieniu, nucił coś wesołego... Bystre jego oko dostrzegło Niemca w cieniu.

– Chodź tu! ty! – zawołał. – Tu!

I pokazał mu jak psu na nogi swoje. Hengo trwożliwie naprzód postąpił. Po chodzie, mowie, ruchach, łatwo mógł poznać, że

¹⁵⁸ *za każdą razą* – dziś: za każdym razem. [przypis edytorski]

miłościwy pan był pijany.

– Ot! Dobra wieczera! – zawołał do niego. – Widziałeś, Niemcze, jak się zabawili wesoło... Gorąco im coś było, poszli się kąpać do jeziora! Psubraty... Wszystko się to samo za gardła wzięło i wyrznęło... Sami, sami... moich tam ludzi nie było... Od czego miód i rozum, od czego? Ej! wy Sasy i Franki przekłete... mądrzy wy jesteście, ha? A kto by z was tak się tego owadu¹⁵⁹ pozbyć potrafił?

Kneź śmiał się i brał w boki.

– Zostanie się po nich dość dla ludzi odzieży, a dla mnie ziemi i koni... Dobra wieczera i miodu na nią nie żał!

Śmiał się znowu.

– Napijże się i ty miodu, mordo ruda! – wrzasnął nagle.

Hengo się nisko kłaniał dziękując, ale nie pomogło nic... pacholę mu ogromny kubek przyniosło, a gdy się od niego wzdragał, kneź gwałtem mu do gardła łać kazał... Chwyciło go dwu i śmiejąc się chłopiec nalał w otwartą palcami gębę. Podziękowawszy za to poczęstowanie już chciał odchodzić, bo się lękał o własną głowę, gdy kneź na ławie usiadłszy, pozwał go ku sobie. Musiał iść pod stopnie i stanąć przy nich...

– Coś widział, powiedz staremu grafowi... – począł półsenny – jakem zagał¹⁶⁰, tak dokończą... Nie ujdą mi te harde głowy... A dla synów zostawię spokój w domu... Nadto kmiecie bujali... Trzeba ich okiełznać było... Powiedz, że się ich nie boję... Że

¹⁵⁹ *owadu* – owadów. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *zagać* – zacząć rozmowę, dyskusję, obrady itp. [przypis edytorski]

się bez pomocy obejdę... Żem żmij tych i padalców wydusił już dosyć i do reszty ich wymorduję...

Jakby sobie coś przypomniął, ręką skinął, aby się Hengo zbliżył doń jeszcze. Zwiesił głowę z ławy poręczy ku niemu.

– Widziałeś moich chłopców? Porośli?... – począł nie dając mu czasu na odpowiedź – muszą być już spore?... a silne? Czy się w matkę urodą udali, czy w ojca? Nie zgnuśnią tam oni? Czy chodzili już na wyprawę?

Hengo szeptał odpowiedź zastosowaną do żądań miłościwego pana, którego się lękał, ale kneź drzemał, oczy mu się zamykały... Mówił jakby sam do siebie:

– Ja wam ład zrobię... Ja wam zaprowadzę Łado... za brody wieszać każę nad drogą... Jam tu jeden pan i kneź... Moja wola, nie wasza!... Precz z tym padłem¹⁶¹... precz!...

Oczy mu się otwarły, postrzegł stojącego Henga, przypomniął go sobie i uśmiechnął się.

– Widziałeś polowanie? – powtórzył. – Dobre łowy... zwierzyna tłusta... kruki moje będą miały co jeść...

Nucić coś począł i zdrzemnął się jeszcze.

– Bratanek bez oczów... jeszcze dwu zostało, a i tych mi przyprowadzą... przysięgali się już na mnie... Życiam mu nie wziął... niech gnije w ciemnicy...

Liczyć począł na palcach.

– Wojtas... Żyruń... Gieżło... Kurda... Mściwój... pięć zagród. Baby jutro spędzić każę... i stada...

¹⁶¹ *padło* – padlina. [przypis edytorski]

Śmiał się, mruzczał i drzemał tak. Hengo nie śmiał się ruszyć bez dozwolenia. Sambor też, wysunawszy się zza stołba, bo go sen nie brał, podkradł się, by widzieć miłościwego pana... Słyszał mruczenie i śmiech, a może słowo jakie do uszu mu doleciało, popatrzał nań niepostrzeżony groźnie, głową potrząsł i cofnął się do komory.

Kneź tymczasem zwiesiwszy na poręczy głowę, usnął snem twardym, chrapanie słyszać było ciężkie, a głosem tym wywołana ukazała się ze drzwi białogłowa w namitce¹⁶² i dwoje pacholąt. Napilego¹⁶³ ujęli mimo oporu pod pachy i zaciągnęli raczej niż poprowadzili do łóżnicy. Zatrzasnęły się za nim drzwi.

Hengo, czując już miód w głowie, powłókł się przelekły, trzymając ściany, do swoich koni i tam legł na słomie półżywy.

W dziedzińcu pogasły światła, księżyc tylko oświecał czarne krwi kałuże i jęczących jeszcze u podsienia rannych kilku, z których krew też płynęła, ale miodem upojeni, nie czuli jak im uciekało życie. Czeladź i dwornia¹⁶⁴ śmiejąc się, pokazywała ich palcami.

– Tak im wszystkim będzie... kmieciom, i żupanom, i władynom... co się kneziowi opierają.

Dano im konać powoli. Smerda obchodził wszystkie kąty podwórza, reszta dworni do snu opóźnionego się wlokła. Cisza

¹⁶² *namitka* – chusta osłaniająca szyję i podbródek, wiązana na czubku głowy, noszona daw. przez kobiety; podwika. [przypis edytorski]

¹⁶³ *napity* – upity, pijany. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ *dwornia* – dworzenie, czeladź, dworska [przypis edytorski]

po wrzawie biesiadnej zapanowała na grodzie, tylko psy wyły, poczuwszy krew i trupy, a krucy¹⁶⁵ krakając¹⁶⁶ to leciały na jezioro, to wracały na wieżę, gdzie miały gniazda swoje.

Rano, gdy się Hengo zbudził, dzień już był biały, stał nad nim Gerda i za suknię go ciągnął gwałtownie, bo Niemca do knezia wołano. Gdy, obmywszy się, pospieszył doń, zastał go samego, siedzącego w izbie na dole; przed nim na misie pieczone mięso, w kubkach piwo i miód na stole. Twarz miał chmurną, oczy krwią naciekle, długo patrzył na Niemca, nim usta otworzył.

– Wiem, z czym cię tu posłano – odezwał się dumnie – powiedz im ode mnie, że dziękuję... Pomocy ich ja potrzebować nie będę, a gdyby do tego przyszło, zawołam... Wolę się obejść bez nich... bo darmo nie pójda i gębę im zatkać niełatwo... Ja ich znam... Wracaj rychło, oddaj pokłon... niech chłopców wojować uczą... niech rosną... wróca, gdy nakażę, teraz nie pora... Ja tu jeszcze czyścić muszę, a nie rychło robactwa się zbędę... Stary graf niech będzie spokojny – dodał – choć lud dziki, do swobody nawykły, ja mu ją ukrócić potrafię.

Napił się z kubka i zadumał podparty, potem wzgardliwie niemal dał Niemcowi odprawę.

Zaledwie wyszedł stąd, gdy go toż samo co wczoraj pachole do kneziowej pani pozwało z towarem. Zabrawszy więc węzeł swój, powlókł się na drugie podwórze, gdzie jak wczora czekała nań blada pani, dokoła otoczona dworem niewieścim. Twarze

¹⁶⁵ *krucy* – dziś: kruki. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ *krakając* – dziś: kracząc. [przypis edytorski]

to były smętne i choć niedawno krasne może, dziś już powiędłe i blade jak ona. Hengo wiedział, co ma gdzie na jaw wydobyć. W chacie Wisza nie pokazywał innego kruszcu, tylko lichszy żółty i czerwony¹⁶⁷, tu dobył pierścienie srebrne, a nawet złote listki i kwiaty z cienkich blaszek wyrabiane, którymi zwyczaj był suknie naszywać. Niewiastom trochę się lica zarumieniły na widok świecideł, poczęły do nich przyklękać, brać je w ręce i przykładać na ciemnych sukniach, jak by się też na nich wydawały. Ani się opatrzył Hengo, gdy mu niemal wszystek jego towar rozebrany rozszedł się po rękach. Stał nic mówić nie śmiejąc, gdy drzwi otwarło pacholę i wszedł miłościwy pan z czapką na czoło nasuniętą. Z progu popatrzał na niewiasty, młodszym twarzom przyglądając się oczyma pałającymi i uśmiechając się do nich. Rzucił okiem i na towar, ale ze wzgardą, a gdy kneziowa pani odezwała się, że dla jej dziewczynek zdałoby się to wszystko śmiejąc się nakazał Niemcowi, ażeby zostawił, co przyniósł.

Przekupień nie śmiał nawet wspomnieć o zamianie lub wynagrodzeniu, a kneź też o niej nie zdawał się myśleć. Wreszcie, gdy kupiec, chcąc resztki ocalić, sznurować począł sakwę, rzekł mu porywczo:

– Grafowi powiedzcie, że my to od niego za podarek dla Brunhildy przyjmujemy... niech on wam za to płaci... Nie macie tu czego stać długo... Wracać wam zdrowiej i nie oglądać się za siebie...

¹⁶⁷ *kruszec żółty i czerwony* – miedź a. mosiądz. [przypis edytorski]

Nie czekając już, aby mu tę radę powtórzono, ruszył Niemiec sposepniawszy i był już za drzwiami, gdy kneziowa pani, znać ulitowawszy się nad nim, wysłała jedną z dziewczek powiedzieć mu, by się nie frasował, że mu sama za towar nabrany wynagrodzi. Wstrzymał się więc w sieni, czekając na starą babę, która wyszła milcząca i powiodła go za sobą do bliskiej komory. Tu skór wisały pęki i różnego dostatku siła¹⁶⁸ nagromadzonego kupami. Dano mu sobie wybierać i Hengo ciesząc się, że nie będzie zupełnie odarty, łańcuszkiem srebrnym jeszcze obdarzywszy podskarbinę, skór na plecy nabrawszy, ile chciał, do koni co rychlej powrócił.

Niepokój jakiś na grodzie, wrzaski i wołania u wrót ostrzegały go, ażeby nie czekając tu dłużej, z życiem i mieniem uchodził. W pierwszym podwórzu dobitniej jeszcze słyszeć było poza wałami odzywające się głosy tłumne.

Wrota stały zaparte, od mostu i haci dwornia pańska wchodu broniła. Wyszedszy, ujrzał Hengo, że gromady pieszych, konnych, a między nimi i niewiasty wnijsia się na gród dopominały.

Smerda i jego pachółkowie nie dopuszczając, biczami i dzidami odpierali naciskających się. Płacz, narzekania, przekleństwa, groźby rozlegały się dokoła...

Były to rodziny kmieci i władyków, wczorajszych gości na grodzie, które już wieść doszła o morderczej biesiadzie. Wyprzeć się jej nie można było, trupy odarte tuż około haci

¹⁶⁸ *siła* (daw.) – wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

plywały, niektóre z nich fala powynosiła na brzegi. Niewiasty we łzach wyciągały do nich ręce, klęcząc na piasku i włosy sobie rwąc z głowy.

Trupy – byli to ich ojcowie i mężowie... Bracia i synowie stali tuż na koniach, zębami zgrzytając, miotając na Chwostka przekleństwa.

Wrzawa rosnąca musiała dojść uszu knezia, który na podsieniu u wnijścia się ukazał, stanął, wziął w boki i patrzył ponuro na czeladź swą, ujadającą się z tłumem na haci u mostu.

Tłum narastał co chwila.

Ściśnięte pięści wyciągano ku kneziowi, ale się śmiał z tej bezsilnej złości.

Trwało to dosyć długo, aż dwu czy trzech wybranych smerda puścił pieszo w dziedziniec. Szli z głowy¹⁶⁹ obnażonymi, płacząc, sami coś mówiąc do siebie, pogrążeni w smutku, a stanąwszy u wnijścia, gdzie na podwyższeniu czekał kneź, chcieli się do niego odezwać, ale ich uprzedził:

– Za co mnie wyklinacie? – zawołał. – Psie syny, nieposłuszne! Co ja wam winien?... Jam ich ręką nie tknął, jam żadnego zabijać nie kazał, choć mogłem i warci byli, aby im głowy pospadały... Po co się sami poważnili i zajedli? Zakrwawili mi izbę, zwałali podwórze, zamęcili spokój... Jak psy się sami gryźli i pozagryzali...

Podniósł pięści.

¹⁶⁹ głowy – dziś popr. forma N. lm: głowami. [przypis edytorski]

– Dobrze im tak! Stara słowiańska wola¹⁷⁰ po głowach wam chodzi! Będzie tak wszystkim, co się jej dopominają. Trupy sobie na jeziorze połówcie, nie bronie... a do domów, póki głowy całe... Jam nie winien ich śmierci...

Jeszcze mówił to, gdy spod tynu¹⁷¹, gdzie gęste rosły łopiany, pokrzywy i łoży, ruszyło się coś, podniosło... Wstał jakby trup blady, chwiejąc się na połamanych nogach. Twarz miał obmazaną krwią zaschłą, oko jedno wybite, z którego spiekła toczyła się ropa. Wstał i rękę podniósł, i jak omackiem na głos idąc, gdzie stały dzieci kmiece, począł krzyczeć chropawym głosem:

– On nie winien!... Czaru i duru¹⁷² dał nam w miodzie... szczuł brata na brata, jątrzył i nawoływał, aż nam oczy krwią naszły i pamięć odbiegła... On nie winien! On! On!... – powtarzał wlokąc się coraz bliżej pokaleczony biesiadnik, który noc całą pod tynem w chwaście przejęczał. – On... on! psi syn... sam, nie my... bodaj zginął marnie!

Schylił się, pod nogami zobaczywszy leżący kamień, na którym jeszcze wczorajszej krwi przyschłej widać było ślady, i porwawszy go z całą siłą, cisnął na stojącego. Pomimo osłabienia taka była moc gniewu, co nim miotał, że kamień oknem wpadłszy do izby, sprzęt jakiś zdruzgotał. W tejże chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur z pętlą na głowę zarzuciła

¹⁷⁰ *wola* – tu: wolność. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *tyn* – ogrodzenie. [przypis edytorski]

¹⁷² *dur* – tu: środek odurzający. [przypis edytorski]

staremu, który się zachwiał, padł, z gardła dobył mu się głos chrapliwy... i trupa już ciągnęli po ziemi oprawcy ku wałom.

Z groźnym mručeniem stojący kmiecie cofnęli się, zobaczywszy to ciało u nóg swoich, i poszli nazad niezaczepiani ku mostowi, gdzie na nich konie i ludzie czekali, a wkrótce później cała ich gromada, krzycząc nazad odciągała. Niewiast tylko kilka zostało u mostu, aby ciała pomordowanych pozabierać.

Z grodu teraz czeladź się na hać wysypała, nie żeby im dopomóc, lecz by młodsze wypatrzeć. Z tych dwie czy trzy, mimo wrzasku, na gród wciągnięto, a kneź, przypatrując się dokazującej drużynie, uśmiechał tylko.

Wkrótce ucichło wszystko... Widać było tylko poniżej, jak starsze niewiasty odnosiły ciała, które jezioro na brzeg rzuciło, jak drugie czółnami płynęły ku trupom, które widniały z dala.

Hengo pośpiesznie przywiązywał do koni resztki swego towaru i mienia, aby co prędzej z grodu wyruszyć. On i Gerda, więcej jeszcze od ojca wystraszone, spieszyli, by przed południem znaleźć się za wałami.

Tu się z nimi zetknął czekający na nich Sambor. Smutny i zaniepokojony do Niemca się zbliżył. Obejrzał się naprzód¹⁷³, czy ich kto z czeladzi nie podsłuchuje.

– Człowiecze dobry – rzekł – bo mi się zda, że złym nie jesteś... Czy wracasz koło Wiszowego dworu?

Nie śmiejąc czy nie chcąc mówić, Hengo skinieniem głowy

¹⁷³ *naprzód* – najpierw. [przypis edytorski]

potwierdził ten domysł.

– Zanieście tam pokłon ode mnie – dodał. – Tęskno mi za nimi, choć tu nam zabawy nie braknie i dobrze na zamku u knezia... czego chcieć... śmiechu dosyć! Powiedzcie im jeno¹⁷⁴, coście widzieli i jak my tu uczujemy!... Będą się radowali, że mnie tu oddali... Uciekłbym może nazad i ani mur, ani woda, ani kłoda by mnie nie wstrzymała, gdyby nie to, że tu tak wesoło... Powiedzcie – powtórzył – coście widzieli.

Hengo to na niego spozierał, to na zamek i wieżę, to na swoje konie, którym sakwy poprawiał, pilno mu się wyrwać było, a głosu się własnego obawiał: kiwnął więc tylko głową w milczeniu...

– Powiedzcie tam – dodał Sambor – że wczoraj dużo kmieci ubyło... i jak im piękny pogrzeb sprawili... Obiecują nam, że tak ochoczo będzie co dnia... W lochu pod wieżą, nie licząc bratanka z wyłupionymi oczyma, jest też kmieci kilkoro... na innych powoli kolej przyjdzie...

Hengo, ciągle potrząsając głową i oglądając się coraz niespokojniej dokoła, wreszcie dał znak chłopcu, aby ustąpił. Nie było czasu do stracenia; Niemiec i syn jego siedli na konie. Kneź patrzył ze drzwi, jak ruszali, ale nie rzekł już nic. Za wrotami i hacją dopiero Hendze się jakoś lżej zrobiło... Wolał już puszczyć niż taką gościnę...

Żwawo więc pognali konie tą samą drogą, co wczora, równie pustą, jak wprzód była. Dopóki wieżę szarą i kruki nad nią

¹⁷⁴ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

latające widać było, Niemiec się oglądał bojaźliwie, jakby się lękał jeszcze, by go nie zawrócono. Gerda trzęsąc się ze strachu, słowa do ojca nie śmiał przemówić. Wkrótce też znaleźli się w lesie i tu dopiero bezpiecznymi się uczuli.

Droga, którą ze smerdą razem przebyli, nawykłemu do włóczęgi pamiętną była. Lękał się jej wszakże Niemiec, aby nie spotkać groźniejszych towarzyszków niż ślepi gęślarze; pospieszał rozglądając się dokoła, obmyślając zawczasu, gdzie na nocleg stanie, bo dniem jednym do zagrody dobić się już nie spodziewał. Śmieiej teraz dążyli do brodu już znanego, aby się przebrać na drugi brzeg rzeki. Nie spotykali nikogo. Z dała tylko kozy pierzchały i ptactwo wodne zrywało się z rzeki z krzykiem, unosząc się na dalsze błota.

Wieczór już nadchodził, gdy Hengo postrzegł kamień na górze, obwiedziony wieńcem z głazów, o którym zachował pamięć od wczora. Tu, ustąpiwszy nieco od rzeki w głąb lasu, wyszukał łąkę zieloną, na której by się konie paść mogły, i ognia naniecili¹⁷⁵, aby nim odegnać zwierza. Sklecili potem szałas z gałęzi i do snu się układli¹⁷⁶.

Majowa noc przeszła prędko, a nade dniem¹⁷⁷ naciągająca burza z piorunami i ulewą z noclegu ich spędziła. Hengo też śpieszył niespokojny, lecz nim na konie siedli, chwycił Gerdę za ramię.

¹⁷⁵ *naniecić* – dziś: rozniecić. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ *układli* – dziś: ułożyli. [przypis edytorski]

¹⁷⁷ *nade dniem* – nad ranem. [przypis edytorski]

– Patrzałeś i słuchałeś – rzekł – co się na grodzie działo... kazałem ci milczeć i z językiem matki się nie wydawać! Milczże i teraz.... bądź niemy...

Pogroził mu stary, chłopak nań patrzył osowiałymi oczyma, dosiedli koni i puścili się śpiesząc do Wiszowego dworu. Deszcz lał jeszcze, ślizgały się konie, zwolnić więc biegu wkrótce musieli, a południe już było, gdy dym ujrzeni i zasieki, i na łące pasące się kłacze ze źrebietami, które niewiasty doły.

Wisz stał na wyniosłym brzegu i patrzył, psy siedziały przy nim na straży. Niemiec pozdrowił go z dala, a stary wnet ku niemu schodzić zaczął. Stróże już biegły się rzucić na obcego, gdy je odwołano i Wisz grożąc do milczenia zmusił.

Szły więc za nim posłuszne.

W oczach starego widać było ciekawość, zdawał się dziwić, że Niemiec z grodu dobył się cało... Patrzył na niego, na sakwy i konie.

– O! prędkościé jakoś z grodu wrócili – rzekł z uśmiechem. – Jakże się tam powiodło?

– E! nie było co robić długo na tym grodzie – odezwał się Hengo. – Mnie też spieszno dobyć się z tego nieznanego kraju.

To mówiąc i zapewniwszy się, że go psy nie zjedzą, Hengo konie oddał chłopcu, a sam począł iść z gospodarzem. Gdy zostali sami, kmieć popatrzał nań, jakby mu z oczów chciał czytać.

– Co słyszeć na grodzie? – spytał.

Hengo zmilczał.

– Nie patrzałem ja wiele, nie słuchałem też dużo – rzekł po namyśle. – Wasz parobek tylko pozdrowić was kazał... dobrze mu tam...

– Młodemu dobrze wszędzie – odezwał się gospodarz i westchnął.

Z odpowiedzi widać było, że Niemiec do mówienia ochoty wielkiej nie miał. Wisz rzucił parę pytań ostrożnych i zbyty odpowiedziami krótkimi umilkł.

Młodego chłopca we wrotach parobcy powitali jak znajomego i z końmi go do szopy poprowadzili. Gerda, jakby zimnicy¹⁷⁸ dostał, drżał jeszcze cały od wczorajszego strachu i dzisiejszego deszczu zimnego. Ulitowano się nad nim. Jeden z parobków, nie wiedząc, że język rozumie, wziął go za rękę i prawie gwałtem wprowadził do chaty, gdzie ogień jasny palił się od rana.

Niewiasty chleb właśnie miesiły, mąkę siały¹⁷⁹, a sługi śpiewając żarna obracały.

Mało było robót na polu i w domu, przy których by ówczesnym obyczajem wszystkich Słowian nie śpiewano. Śpiew był towarzyszem wszelkiej pracy, zwłaszcza niewieściej. Jak ptaki nuciły dziewczęta, całą młodość prześpiewując... Pieśni uczono się z mową razem. Śpiewano, trzodę pędząc na pastwisko, pieśni do Honiły, nucono pasąc ją i wracając z pola, śpiewano u kądzieli, u żaren, u dzieży-matki, u krosien, ze smutku i z radości, ze łzami i łkaniem, u wesela i pogrzebu.

¹⁷⁸ *zimnica* – febra. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *mąkę siać* – przesiewać mąkę. [przypis edytorski]

Były pieśni prastare, których się córki od matek uczyły, aby je oddać swym dzieciom, poświęcone wiekami, z których się – jak mówiło przysłowie – słowa wyrzucić nie godziło; ale były inne, co wprost z serca płynęły, a ten co je wyśpiewał pierwszy, sam nie wiedział skąd i jak mu przyszyły i jak się złożyły.

Podśluchał je drugi, coś do nich przyczynił, zmienił trzeci i tak rodziły się z ojców nieznanych ¹⁸⁰wiele, szły jak grosz do skarbnicy niewidzialną ręką rzucony, mnożąc dobro ogólne.

Gdy mały Gerda wszedł zziębły i siny, a od progu posłyszał te pieśni, które ¹⁸¹niegdy w smutku na obczyźnie matka jego rodzona nuciła po cichu – poruszyło mu się serce, w piersi zakipiało i łzy z oczów pociekły. Zapomniał, że się nie powinien był wydać ze swą mową, że mu kazano być niemym i głuchym i z ust mu się wyrwało mimowolnie:

– Macierz moja!

W progu stała Dziwa patrząc, słuchając, śpiewając, jednej jej uszu doszedł ten wyraz chłopca, który wnet się zarumienił, spojrzał wzrokiem wylękłym i skrył się w kąt ciemny. Dziwa postąpiła ku niemu, rękę położyła na ramieniu – poczuła, jak drżał cały.

– Nie bój się – rzekła. – Ja cię nie zdradzę.

Poszła zaczerpnąć garnuszką piwa, postawiła je na chwilę przy ogniu, potem przez fartuch ująwszy, przyniosła Gerdzie, który chciwie je pochwycił, podnosząc ku niej łzawe oczy.

¹⁸⁰ *wiele* – tu: wielu. [przypis edytorski]

¹⁸¹ *niegdy* – niegdyś. [przypis edytorski]

Wejrzeniem tym dziecinny, które złagodziło wspomnienie matki, przemówił do niej. Wzięła go za rękę i wiodła do sieni, bo w izbie wciąż się śpiewy rozlegały. Gerda ujął jej rękę, jak niegdyś matki, pocałował. Na rękę łąza przylgnęła.

– Mnie mówić zakazano! – szepnęła. – Ojciec ubiłby, gdyby się dowiedział. A! nie wydajcie mnie. Ja nie jestem niemy, matka miała waszą mowę i z waszej krwi była.

Dziwa pogłaskała go po mokrych włosach.

– Mów bez obawy – rzekła cicho – co na grodzie widziałeś?

– A! straszne a okropne rzeczy, od których włosy wstają na głowie i dreszcz po kościach bieży¹⁸². A! krew widziałem... krwi kałuże, jęki słyszałem noc całą i śmiech, jakby puchacza głos.

Zamilkł, oglądając się z obawą.

– Mów, chłopcze – rzekła – jakby ci rodzona kazała.

Łagodny głos jej do serca mu trafiał.

– Słowo twoje nam potrzebne – dodała, gładząc chłopię po twarzy.

I pochyliła mu się do ucha, a on z płaczem opowiadać jej zaczął, co wczoraj na grodzie się działo, jak wrzała biesiada krwawa, jak w podwórzu zajadali się¹⁸³ kmiecie pijani, jak nagie ich trupy do jeziora rzucano, kneź śmiał się, a krucy krakali¹⁸⁴ i psy wyły z radości czy z trwogi. Mówił, jak głodna psiarnia pańska biegła potem krew ciepłą chleptać w kałużach, jak z rana

¹⁸² *bieżyć* (daw.) – iść; tu: rozchodzić się. [przypis edytorski]

¹⁸³ *zajadać się* – tu: zagryzać się; przen. zabijać się wzajemnie. [przypis edytorski]

¹⁸⁴ *krucy krakali* – dziś: kruki krakały. [przypis edytorski]

zawodziły i płakały niewiasty, jak znoszono trupy i miotano groźbami.

Mówił – a Dziwa bladła, spokojna jej dziewicza postać mieniała się¹⁸⁵ w rycerską, oczy zdawały się spod powiek ogniem strzelać, a ręce się białe ścisnęły, jakby miecz w nich trzymała... i czoło podnosiło się coraz wyżej, to krwią okrywając, to bladością.

Kończył Gerda opowiadanie, gdy Wisz i Hengo nadeszli, chłopiec strwożony, aby się jego wielomówność nie wykryła, ledwie miał czas prześlizgnąć się pod chruścianymi ścianami szop do koni i tu przypadł, tuląc się pod kawałem sukna, który naciągnął na siebie. Dziwa stała długo w miejscu jak przykuta, a gdy Wisz przechodząc spojrzał na nią, mógł z twarzy wyczytać, że w jej duszę padło jakieś zarzewie, od którego zakipiała. Dała tylko znak ojcu powiekami, aby szedł i nie pytał.

Gdy Hengo wstąpił na próg izby, nagle wszystkie niewieście zamilkły głosy, śmiech tylko przeleciał jak wiatr po liściach i słyszeć było żarna, jak zgrzytały, jak syczał ogień, wrzała woda i reszty deszczu ze strzech spływały na kamienie u przyzby.

Gościa przyjęto uprzejmie. Niemiec chmurny siadł za stół, usta mu się otworzyć nie chciały, na czole miał jakby kamień, co mu nawet oczu otworzyć nie dawał ani spojrzeć jasno. Na próżno Wisz zagadywał, próżno stara Jaga misę przyniosłszy ze strawą, pytała o Sambora – on nic nie wiedział. Po burzy niebo się rozpogodziło. Czarna chmura, co ją przyniosła, stała

¹⁸⁵ *mienić się* (daw.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

jaszcze z dala nad lasami, po ciemnej jej szacie latały pioruny wężami, ale nad dworem śmiało się niebo lazurowe i świeciło słońce. Ptaki otrząsały skrzydła zmoczone i swiergocząc, zwiły się około chaty. Jaskółki nosiły już muł na gniazda, a wróble klóciły się zapalczywie o znajduwane ziarna. Bocian na gnieździe wybierał się w drogę i na długich stojąc nogach, strzepywał skrzydła, a dziób zadarłszy do góry, klekotał.

Zaledwie trochę zjadłszy, Niemiec wstał, by pożegnać gospodarza, jakby go paliło z powrotem.

Odebrał swoje sakwy, objuczył konie i dosiadłszy je, wprędce znikł z oczów gospodarza, w las wjechawszy.

Wisz patrzył za nim, stojąc we wrotach, gdy nadeszła Dziwa. Obrócił się do niej stary i uśmiechnął łagodnie. Ile razy spojrzał na nią, na tę krasę¹⁸⁶ i wesele domu, na twarz mu jasny występował promień. Uśmiech jej mu odpowiadał zwykle, lecz teraz stała zamyślona i smutna. Skinęła na ojca i powiodła go z sobą ku rzece.

– Nic wam nie mówił Niemiec? – spytała.

– Milczał jak grób – rzekł stary.

– A mnie szczęśliwsza dola dała z niemego chłopięcia dostać języka – poczęła Dziwa. – Syn Henga straszne mi opowiadał rzeczy. Trzeba, abyś o nich wiedział, ojczu, coraz groźniejsze od grodu na nas wiatry wieją... posłuchaj! Chłopiec nie kłamał, drżał jeszcze cały ze trwogi mówiąc i płakał.

Dziwa zaczęła po cichu opowiadanie. Wisz sparty na kiju,

¹⁸⁶ *krasa* – uroda, piękno. [przypis edytorski]

słuchał ze spuszczoną głową. Nie dał po sobie poznać nic, na pozór zimny jak kamień, córce mówić dozwolił, nie wtrącając słowa. Zamilkła już, gdy on jeszcze się słuchać zdawał.

Aż nierychło głowę podniósł i tchnął ciężko piersiami starymi.

– Pora – rzekł – co ma być, to się stanie... Wiec zwołać potrzeba, dawno go nie było i ludzie się rozbili, chodząc samopas. Czas się ze swoimi narodzić, posłać wici¹⁸⁷, zebrać braci. Niech głowę starą wezmą, jeżeli chcą – co dla gromady i miru naszego potrzeba – to zrobią – a ty, Dziwo – milcz!

Córka zbliżyła się i ująwszy rękę pocałowała.

– Kolada pomoże! – szepnęła.

¹⁸⁷ *wici* – znaki przekazywane od dworu do dworu, zwołujące na wiec lub wojnę.
[przypis edytorski]

VII

Godzina nie upłynęła, gdy stary Wisz ukazał się znowu w progu dworu, ale tak zmieniony, iż poznać go było trudno. W domu chodził bosy i w płótnie, teraz się odział jak do podróży i postać przybrał inną. Okryty był brunatną siermięgą nową, sinymi pasy obszywaną, na nogach miał skórnie nowe, których sznury krasno¹⁸⁸ były farbowane, na głowie kołpak¹⁸⁹ futrzany i pióro przy nim. U pasa wisiał miecz błyszczący i proca, na plecach łuk i strzały. Stapał też jak wojak stary, wyprostowany, z podniesioną głową – i lat mu w tym stroju ubyło.

U wrót trzy konie gotowe, okryte suknem czekały, dwóch parobczaków czysto odzianych i zbrojnych, trzymało je, gotowych z gospodarzem do drogi. Co żyło w chacie, wyszło żegnać ojca i cisnęło się do ręki. Szła Jaga też niespokojna, fartuchem łzy ocierając, bo czuła, że coś w tym groźnego być musiało, gdy Wisz, co od dawna już nie ruszał się ze dworu, chyba po barciach i lesie – sam, tak nagle, nie mówiąc nikomu dokąd i po co, jechać musiał.

Ona i Dziwa poszły za nim aż do konia siwego, który spokojny stał, nogą grzebiąc, głowę obrócił ku panu, zarżał i czekał, aż nań siądzie. Chciał jeden z parobczaków pomóc staremu, lecz Wisz,

¹⁸⁸ *krasny* – jaskrawoczerwony. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ *kołpak* (z tur.) – wysokie, spiczasto zakończone nakrycie głowy bez daszka, obszywane futrem. [przypis edytorski]

jakby mu nagle siły przybyło, skoczył rażno na grzbiet siwego, głową swoich pozdrowił, ręką wskazał na drogę w las – i ruszyli w milczeniu. Długi kawał jechali nad rzeką. W jednym miejscu kilka nędznych chałup stało nad wodą, na kołkach sieci wisiały, parę czółen wywróconych odpoczywało na piasku. Chałupy, jak bobrowe domki, ubogo wyglądały, na pół w ziemi, pół nad nią, a biedniej jeszcze ludzie, których dwu na pół nagich głos Wisza wywołał. Była to osada z błędnych ludzi złożona, zowiąca się Rybaki, która na ziemi kmiecia niedawno wyrosła. Kilkoro dzieci nagich, od dymu okopcona niewiasta zgięta i stara – pierzchnęli na widok pana, tylko dwaj rybacy jakąś odpowiedź na pytania wymruczeli przez zęby. Spojrzenia ich rzucane na Wisza, kose¹⁹⁰ były, nieufne i strwożone.

Nieco dalej znowu chatek kilka w lesie, druga osada podobna, Bodniarze¹⁹¹, stała jakby pusta... U drzwi tylko klepki i wióry, porozsypywane naczynia świadczyły o zajęciu mieszkańców. Na ten raz¹⁹² nie było żywej duszy, niewiasty z dziećmi wyszły do lasu na grzyby, mężczyźni musieli drzewa szukać na klepki. Drzwi jednak wszystkich chałup stały niepozamykane, bo taki był zwyczaj po całej ziemi, a żaden podróżny nie nadużył nigdy tej gościnności poczciwej. W każdej chałupie leżał chleb, nóż i stała woda. Stały otworem loszek, spiżarnia, wszystko.

¹⁹⁰ kosi – tu: spode łba. [przypis edytorski]

¹⁹¹ Bodniarze – nazwa miejscowości od zajęcia mieszkańców, *bednarzy*, zajmujących się wyrobem beczek, cebrów itp. [przypis edytorski]

¹⁹² na ten raz – tym razem. [przypis edytorski]

Jeden z parobczaków Wisza poszedł się napić i wrócił natychmiast do konia. Stąd już nawrócili w lewo na lasy i gęstwina jechali – bez drogi, lecz tak się kierując bezpiecznie i pewno, jakby mieli przed sobą szeroki gościniec. Myśliwym znane było każde uroczysko... zwalona kłoda, dolina w lesie i strumień.

Jechali tak w milczeniu do nocy ciemnej, gwiazdy już świeciły na niebie poprzedzając księżyc, gdy noclegować stanęli. Chłopcy w mgnieniu oka szafas dla starego sklecili – jeden na straży został przy koniach puszczonej na paszę, drugi przy Wiszu.

Noc przeszła spokojnie, o brzasku wszyscy gotowi byli do drogi, stary wstał od nich wcześniej – na konie siedli i Wisz sam wskazywał dalej, kędy jechać mieli, bo naokół w swoim mirze¹⁹³ i opolach¹⁹⁴ nie było grudki ziemi, która by mu znaną nie była. Myśleć i namyślać się nie potrzebował, instynkt myśliwskich plemion grał w nim jeszcze z całą siłą, on las czuł i w obcym nawet wiedziałby, jak się obrócić.

Chwytał niekiedy silniej powietrze, a ono mu oznajmowało¹⁹⁵, czy w pobliżu dąbrowa była, łąka, moczary czy pola. Mówiła do niego trawa, co rosła pod stopami, pochylenie gałęzi, mech, który na drzewach rosł¹⁹⁶, krzewy, co las podszywały. Lot

¹⁹³ *mir* (daw.) – wspólnota, gmina u daw. Słowian. [przypis edytorski]

¹⁹⁴ *opole* (daw.) – terytorium kilku gmin współdziałających ze sobą. [przypis edytorski]

¹⁹⁵ *oznajmować* – dziś: *oznajmiać*. [przypis edytorski]

¹⁹⁶ *rosnął* – dziś popr. forma 3.os.lp: *rósł*. [przypis edytorski]

ptaków uczył go nawet i zwierz, którego płoszyli, i kierunek, w jakim on od nich uciekał.

Ku południowi już wjechali na łąkę szeroką, której środkiem płynął strumień. W dali, na podniosłym nieco brzegu, widać było dwór obszerny z zagrodą i dym nad nim.

Ujrzawszy domostwo, stary dobył rogu i zatrąbił raz, drugi i trzeci. Jechali tymczasem, coraz się zbliżając ku zagrodzie, około której mnóstwo roіło się ludzi.

Jeden z nich, konia bez uzdy z łąki porwawszy, skoczył nań i rękami go poganiając z obu stron szyi, a trzymając się grzywy, wybiegł naprzeciw starego – popatrzał na Wisza i szybko nazad popędził.

Znać, że i tu mało kto w gościnie bywał, bo czeladź u wrót cisnęła się ciekawa, a zza tynu¹⁹⁷ widać było bielejące niewiast namitki¹⁹⁸. Jeszcze nie dojechali do zagrody, gdy we wrotach ukazał się słuszny¹⁹⁹ mężczyzna, odziany po domowemu, koszula na wierzch, w lekkim przyodziewku na ramiona narzuconym. Gęsty, jasny włos spływał mu na ramiona, młoda bródka zarastała rzadko rumiane lice, które się śmiało dużymi, niebieskimi oczyma. Rękami z dala już witał przybywającego, weseląc się gościem, stary mu też słał pozdrowienie, a nie

¹⁹⁷ *tyn* – ogrodzenie z gałęzi a. pni drzewnych. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *namitka* – chusta osłaniająca szyję i podbródek, wiązana na czubku głowy, noszona daw. przez kobiety; podwika. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *słuszny* – tu: słusznego wzrostu i postury; wysoki i postawny, barczysty. [przypis edytorski]

dojeżdżając do wrót, konia wstrzymał i zsiadł z niego.

– Bywajcie mi w dobrą godzinę, gospodynie²⁰⁰ miły – wołał młody gospodarz. – Takiego gościa, jak stary Wisz, nigdy się moja chata nie spodziewała.

To mówiąc, z poszanowaniem, jak do ojca zbliżył się do starego i rękę mu chciał całować.

– Rad wam jestem jako słońcu! – mówił dalej wesoło. – Ale się i smucę też, bo zamiast stare kości trząść do młodego Domana, mój ojciec, nakazałbyś do niego, to by się u drzwi twych stawiał.

– Zachciało się też i staremu świata zobaczyć a popatrzeć, czy się tam co na nim nie zmieniło – odezwał się Wisz.

Uściskali się i pod rękę go ująwszy, wiódł Doman do świetlicy. I tu dwór stał w obejściu, dokoła zabudowany w prostokąt, z szopami razem i chlewami. Znać tylko było młodego gospodarza, który pragnie, aby mu się w oczach domostwo śmiało, bo ściany były wybielone i podsienie ostawione słupkami misternymi. Na nich gdzieniegdzie wiązki ziela wonnego wisiały: macierzanka, dziewanny i cząbry. Niewiast cale²⁰¹ widać nie było, bo się te przed obcym kryły... Izba też, do której weszli, czysta była i schludna, a znać w niej niewiasty nie gospodarzyły, bo ognisko w pośrodku z kamieni ułożone było wygasłe. W kącie

²⁰⁰ *gospodynie* – panie (jako tytuł oznaczający nie tylko szacunek, ale i stosunek podwładnego do władcy); W. od M.: *gospodyn* a. *gospodzin* (archaizacja). [przypis edytorski]

²⁰¹ *cale* (daw.) – wcale. [przypis edytorski]

skórą wilczą zasłane widać było łoże, po ścianach łuki, miecze, proce, rogi zwierząt i skóry z nich świeżo zdarte. Na stole leżał chleb biały, którym się rozłamali, i Doman starca naprzód posadził, sam stojąc przed nim. Ledwie go skłonił, by usiadł przy nim podle²⁰². W oczach wesołego gospodarza żywa malowała się ciekawość, ale z pytaniem nie spieszył. Wiesz też zrazu o gospodarstwie mówił i lesie. Wtem miód podał chłopak, gospodarz przepił do gościa.

Sami jedni w izbie byli.

– Jużeście to zgadli – odezwał się stary – żem przybył tu nie darmo – a ja wam powiem, że z wieścią niedobłą. Żle a coraz nam się gorzej dzieje.

– To róbmy tak, aby lepiej było – odparł Doman.

– Wkrótce mirów, wieców i nas kmieci, i starego obyczaju nie stanie – mówił Wiesz z wolna – pójdziemy w pęta wszyscy.

Mówią tak ludzie, iż w starych głowach lęgnie się narzekanie jak kwas w starych statkach²⁰³ – ale osądzicie sami, czy się to bez jaja wylęgło.

Kneź i Leszki wszystkie za wolnych już nas ludzi nie mają. Kmiecie i władzyki, co się na tej ziemi urodzili, z czernią²⁰⁴ idą na równi z niewolnikami. Rabów²⁰⁵ z nas czynić chcą. Odgrają się, tępią jak pszczoły, gdy ul do dna chcą wyprzątnąć i gnilca

²⁰² *podle* – podług, wedle, obok. [przypis edytorski]

²⁰³ *statki* (daw.) – naczynia. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *czerni* – tu: pospółstwo. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *rab* (daw.) – niewolnik, sługa. [przypis edytorski]

w nas szukają. Chwostek nad Gopłem dokazuje. Dwa dni temu sprosił kmieci na ucztę do siebie, dali im jakiegoś duru w napoju, Niemka go tam syci na naszą zgubę. Wśród ucztę jęli się gryźć i bić między sobą, niemal wszyscy się wymordowali. Trupy Chwostek do jeziora kazał powrzucać jak padło²⁰⁶. U Samona dziewczkę hożą zabrano gwałtem, a kneziowa pani dała ją mężowi na zabawę. Po zagrodach tłuką się²⁰⁷ smerdy jego i gwałty czynią, zabierają ludzi, niewiastom nie dają pokoju. Nikt nie pewien ani chaty, ani pola, ani komory, ani dzieci. Mamyż my to tak cierpieć²⁰⁸ i po niewieściemu jak baby z płaczu zawodzić, ręce łamać? Mów, Domanie.

Domanowi lice płonęło, wargi się trzęsły, hamował się, milczał, a gdy stary dokończył, rzekł:

– Hej, hej! Dawno bo należało na to gniazdo osie iść i nogami je stratować.

– Słowo się prędko rzecze, Domanie – zawołał stary – a rękoma to nie tak łatwo. Twardo siedzi to gniazdo, do stołba przylepłe²⁰⁹.

– A stołb też pono²¹⁰ nie duchy stawily z kamienia, ale ludzie, to też go ręce ludzkie wyrócić mogą – rzekł Doman.

– Nie mów tak – odezwał się Wisz. – O stołba początku nikt

²⁰⁶ *padło* – padlina. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *tluc się po zagrodach* – jeździć od zagrody do zagrody. [przypis edytorski]

²⁰⁸ *cierpieć* – tu: znosić. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *przylepły* – dziś: przylepiony. [przypis edytorski]

²¹⁰ *pono* (daw.) – podobno; przecież. [przypis edytorski]

nie wie. Stał już za praszczurów²¹¹ naszych. To pewna, że lud, co go stawiał, nie nasz był i znikł z tej ziemi.

Doman zmilczał.

– Nam we dwu – dodał stary – nie rozsądzać o tym, ale poczynać coś trzeba gromadą, a dzieci ratować.

Spojrzał na młodego gospodarza, który też oczów jego szukał.

– Trzeba rozesłać wici po kmieciach i władkach, a zwołać starszyzny wiec walny. Niech się miry nasze i opola zbiorą, zacniemy my, pójdą zatem drudzy.

– Wasze słowo za rozkaz stanie – rzekł Doman. – Niech niosą wici – ano, mówić mi dozwolicie. Kogo wołać i kędy²¹²? Wicie to dobrze, że Chwostek ma swoich i między kmieciami, że Leszki się rozrodziły i poswatały, a jest ich siła, że my nie sami... Trzeba więc ostrożnie i cicho wprzód języka dostać²¹³, wprzód się może rozsluchać i obliczyć, nim z garstką wystąpimy, bo nas zduszą.

– Nie inaczej i ja myślałem – odezwał się Wisz. – Wiem ci to dobrze, że nie zbywa Chwostkowi na druhach i że między naszymi też znajdują się z nim pobratani; ale i to wiem, Domanie, że własny jego ród Leszy niecały z nim będzie. Stryjów zgłębił i w kmiecie obrócił, synowcom powyłupiał oczy, drudzy ze strachu wychylić się z grodzisk nie śmieją. Ci z nami trzymać będą.

²¹¹ *praszczur* (daw.) – przodek. [przypis edytorski]

²¹² *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

²¹³ *dostać języka* – wypytać. [przypis edytorski]

– Na wiecu się to obradzi lepiej – odezwał się Doman. – Zwołujmy wiec.

– Nim wici roześlemy – przerwał stary – pojedźmy po dworach, nie mówiąc nic, aby języka powziąć. Jedźmy razem, Domanie, i po kmieciach, i po Leszkach.

– Jedźmy, ojcie Wiszu – potwierdził Doman – jam gotów. Spocznijcie u mnie, dalej ja ruszę z wami.

– Jak myślicie? Dokąd? – spytał stary.

– Z kmieci... do starego Piasta – na naradę, ubogi człek, ale mądry... milczy, ale więcej wie od tych, co gadają.

Wisz głową skinął.

– A dalej?

– Z Leszków choćby do Miłosza... – mówił Doman.

– Tego synowi wyłupił on oczy.

Liczyli tak dwory, gość palec na ustach kładł:

– Krom²¹⁴ nas dwu niech o tym nikt nie wie. Jedziemy na łowy.

– Jedźmy na łowy – ludzi waszych zostawicie u mnie, we dwu ruszymy, tak lepiej.

– Tak lepiej – dodał Wisz.

– Gdzież my wiec zwołamy, boć stanie na tym, aby się zebrał, dawno go nie było – rzekł Doman.

– Gdzie? Tam, gdzie on od wieków bywał – nowego miejsca ni szukać, ni znaleźć. Na Żmijowym uroczysku, nieopodal od dębu świętego i źródła, w okopie na horodyszczu – gdzie ojcowie,

²¹⁴ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

dziadowie i pradziady się nasze zwoływały. Tam nam też stanąć wszystkim i radzić.

W oczy sobie popatrzali.

– Uroczysko to w głębi lasów, bezpieczne, błotami opasane dokoła. Lepiej tam niż gdzie indziej. Gdyby się starszysznym zebrały gromadą przy naszej czy waszej zagrodzie, mściłby się kneź i palił – tam – kto wie? I posłuchu²¹⁵ może mieć nie będzie.

– Posłuchu?? – rozśmiał się Doman. – Ma on swoich wszędzie, doniosą mu, byleśmy się ruszyli tylko, ale nie przetoż się lękać mamy i siedzieć po norach. Z wieków się ludzie na wiece zbierali, czemu by i dziś nie mogli? Pilno obeślem wiciami.

– Tak – rzekł Wisz – pošlemy dwu po dworach, zagrodach, chatach, aby starszyszna przyszła, lecz wiedzieć wprzód musimy, kogo wołać i kto z nami stanie. Godziłoby się wziąć kłatwę²¹⁶ na ogień i wodę.

Naradzać się zaczęli po cichu. Stało na tym, że wiec być ma konieczne i że się temu nie sprzeciwią ludzie, więc już naprzód myślano, jak nieznacznie go zebrać, a że na Kupalę gromady się i tak po uroczyskach schodziły, przed Kupalą dzień wybrać chciano.

Wisz i Doman zgodzili się na to zawczasu. Na wici czasu było dosyć, a do Kupali też nie tak daleko, aby rzecz poszła

²¹⁵ *posłuch* – tu: wywiad, wieść. [przypis edytorski]

²¹⁶ *klątwa* – tu: przysięga; por. wyrażenie: kłać się na coś. [przypis edytorski]

w odwłokę²¹⁷.

Gwarzyli długo... Naradzali się w izbie po cichu aż do zmierzchu. Stał miód na stole, ale go prawie nie tknęli. Pochmurniały czoła, zasępiły się oczy nawet wesołemu Domanowi. Przebrało się w końcu i rady, i słowa, ręce sobie podali i gospodarz wywiódł starca za zagrodę pod lipę, która na wzgórzu stała. Ledwie się tam ukazali, że dworu za panem skoczyło całe psów stado, bo myśliwiec był wielki. Obsiadło ich dokoła. Młodzież też, czeladź, dwór stanąwszy z dala – jakby na coś oczekiwać się zdawała. Doman ku nim, oni patrzali ku niemu.

– Chciałbym was zabawić i ugościć – odezwał się gospodarz – staremu nie w smak młode pieśni, bo są płocze. Czymś byśmy was przyjąć przecie radzi i pokazać, że my od snu nie puchniemy i u ognia nie drzemiemy.

– Hej, Ścibor! – krzyknął Doman, znak dając ręką – sam tu! Dorodny chłop, któremu też oczy ogniem pały, na zawołanie się stawił.

– Lepszego dnia na naszego wilka nie znajdziemy – odezwał się Doman. – Przed kim się pochwalić, jeśli nie przed starym Wiszem. Dajcie go tu z zagrody, pokażemy, że się dzikiego zwierza nie boim.

Skoczył Ścibor rażno, a za nim ozwały się głosy ochocze. Psy wnet zagnano do zagrody, kilka tylko zostawiwszy na sznurach. Wiesz i Doman wstali spod lipy – zbliżając się do wrót, przy

²¹⁷ *pójść w odwłokę* – odwlec się, przeciągnąć. [przypis edytorski]

których już się chłopaki gromadzili. Gospodarz kazał wziąć oszczepy i począł ludzi rozstawiać dokoła. Sam też ujął dzidę z żelźcem, zajmując stanowisko w oddali. Psy na powrozach trzymali parobcy, a rwały się czując, że je nie darmo więżą.

Klasnął w ręce pan i wrota się skrzypiąc otwały.

Wilk, który dni kilka w niewoli przesiedział, zahukany był i wylekły, nierychło korzystał ze swobody. Wołano nań, bijąc kijami o ściany od podwórza, a ruszać się nie chciał, skulony kłapiąc tylko zębami. Nagnano go przecie ożogami²¹⁸ do wrót i głowa jego w nich się ukazała, wnet też, rozglądnąwszy się ostrożnie, naprzód skoczył i stał. Cicho przysiedli czatujący, psy tylko wyć poczęły, wilczysko się ruszyło, zrazu krokiem niepewnym, potem szybciej coraz, patrząc ino²¹⁹, kędy²²⁰ umykać ma do lasu.

Ucieczka była trudną, bo zewsząd ludzie zabiegali. Doman nań godził pierwszy, biegnąc żywo na przełaj, aby go nie mógł wyminąć. Gdy się leniwo poruszał zwierz, spuszczone psy, a te się wnet nań rzuciły. I łowy rozpoczęły się wtedy na dobre.

Jeden i drugi z chłopaków śmieiej zabiegli wilkowi z oszczepami, cisnął któryś z daleka i trafił słabo po grzbiecie – psy zatrzymały za uda i szarpać poczęły. Doman korzystając z tego, przypadł i z wielką zręcznością w otwartą paszczę wbił

²¹⁸ *ożóg* – kij do poprawiania ognia, usuwania popiołu i żużlu w piecu (piekarskim a. kowalskim); tłać się głównia. [przypis edytorski]

²¹⁹ *ino* (daw., gwar.) – tylko. [przypis edytorski]

²²⁰ *kędy* (daw.) – gdzie, którędy. [przypis edytorski]

mu dzidę, na miejscu kładąc kudłacza.

W czasie tych łowów dla zabawy krzyk, śmiechy i klaskania w ręce po dworze się rozlegały, dziewczęta, na płoty wlaższy, zachęcały i nawoływały, dzieci wywijały kijami. Stary Wisz nawet parę razy za mieczyk chwycił, nie mogąc się w spokoju utrzymać. A gdy wilczyisko, brocząc posoką²²¹ ziemię, zważyło się i psy je dławić poczęły, dopieroż zbiegli się wszyscy z bliska oglądać zabitego.

Kilka dni temu pojmał go w lesie któryś z ludzi Domana, ogłuszywszy uderzeniem w głowę tak, że na poły przybitego związano i na dwór przywieziono, gdzie się wylizał i odżył, aby posłużyć teraz do zabawy.

Zwleczono potem zabitego, a zaczęto próbować łuków i procy. Doman ze wszystkich najzręczniejszym był, choć drudzy też czynili, co mogli, aby mu sprostać. Wisz patrzył tylko, a wzdychał, że mu ręce stare drżały. Niegdyś i on tak dokazywać umiał.

Gdy zmierzchno i łuczywa w izbie pozapalano, siedli radzić jeszcze i długo na osobności szeptali z sobą – aż Doman postanienie swe staremu ustąpiwszy, drugie dla siebie w tejże izbie kazawszy położyć, do spoczynku zaprosił.

Jak dzień tedy pozrywali się, konie od wczora były zapowiedziane, ludzie, choć im się chciało bardzo jechać razem z panami, musieli zostać w zagrodzie.

Do dworu Leszka Miłosza, drogi przez lasy było na dzień

²²¹ *posoka* – krew. [przypis edytorski]

cały. W torbach na plecach mieli jado, w drewnianych smołą wylanych flaszkiach po trosze miodu, konie nawykłe do trzęsawisk i lasów, nie lękały się podróży. Doman jechał przodem.

Dla pośpiechu wybrano krótszą drogę wiodącą przez moczary i gąszcze nieprzebyte. Gdzieniegdzie ogromne stosy drzew wiatrem obalonych, na pół pogniłych, trawami bujnymi porośniętych, gałęzmi i korzeniami posplatanych, tamowały przejazd, musieli je objeżdżać dokoła; indziej gniłe²²² rzeczutki ze śliskimi brzegi²²³ trudno konie przebywały. W ostępach²²⁴ tych, które rzadko człowieka widywały, zwierzę nie tak płochliwe, zrywał się niemal spod stóp jeźdźców... na drzewach świeciły ogniste żbików ślepie, pod krzakami mruczały niedźwiedzie, stada łosiów i jeleni z ogromnym chrzęstem pierzchały przed nimi. Gęste nawet drzew wierzchołki pełne były ptastwa, gniazd i wiewiórek – które im nad głowami szeleściły...

Wnętrze puszczy tajemnicze, ciemne, straszne, ledwie promienie przepuszczało słoneczne i gdy pod wieczór wydobyli się z tych zapadłych gęstwiny na suchszą łąkę, oba różnie odetchnęli.

Tu musieli się otrząsać z liści, gąsienic, mchów i porostów, którymi puszcza ich okryła.

W dali już dym widać było. Na wzgórzu łysym postrzegli

²²² *gniły* – dziś: zgniły a. gnijący. [przypis edytorski]

²²³ *brzegi* – dziś popr. N. lm: brzegami. [przypis edytorski]

²²⁴ *ostęp* – trudno dostępne miejsce w lesie. [przypis edytorski]

wysoki bardzo wał z ziemi, zielonym darniem²²⁵ okryty, zza którego tylko gęstwina drzew się ukazywała. Spośród nich unosił się dym wstęgą siną ku górze, znak ludzkiego mieszkania i życia. Wały otaczające grodzisko tak wysoko sięgały, iż spoza nich budowli żadnych dostrzec nie było można.

Gdy się zbliżyli, spostrzegli wśród okopów z ziemi, wąski przesmyk wysokim zaparty częstokołem²²⁶... Na zewnątrz żadnego znaku życia. Wrota stały zamknięte. Podjechali ku nim, a nikt się nie ukazał, choć na wyżynach wału kilka ludzkich spostrzegli postaci. Wisz zatrąbił.

Stali jednak długo, nim zza tynu wysokiego ukazała się głowa ludzka, okryta skórą łba wilczego.

Stary dopraszał się wniścia – ale pacholek mruczał, że kneź Miłosz nie dopuszcza do siebie nikogo. Musiano uporu zażyć i po kilkakroć wywoływać strażę, nim ich nareszcie wpuszczono. Wrota się rozwarły, przebyli ciemną drogę przez gruby okop, który grodzisko opasywał, i znaleźli się w podwórku starymi drzewy²²⁷ porośłym. Lipy i dęby z pniami olbrzymimi, z szeroko rozpostartymi gałęzmi, osłaniały niemal przestrzeń całą. Poza nimi, w cieniu, niska budowla ciemna, drewniana, rozkładała się

²²⁵ *darniem* – dziś r.ż.; popr. forma N.: darnią; *darń* – warstwa gleby przerośniętej gęsto splecionymi korzeniami traw i in. roślin, używana do umacniania nasypów. [przypis edytorski]

²²⁶ *częstokół* – ogrodzenie z zaostrzonych na górze bali drewnianych; palisada. [przypis edytorski]

²²⁷ *drzewy* – dziś popr. N.lm: drzewami. [przypis edytorski]

szeroko ze swymi podsieniami szerokimi i wysokimi dachy²²⁸.

Ponure, skórami okryte postacie jakieś włóczyły się tu i owdzie. Ogromne psy, kościste a chude, przyszły na podróżnych zawarczeć i obwąchać ich dokoła. Nierychło zjawił się zgarbiony starzec, niskiego wzrostu, zakapturzony, o kiju. Z tym się zrozumieć i rozmówić nie było prawie można.

Mrucząc jednak powiodł ich za sobą. Wieczorny zmierzch i cień drzew w budowlu niskiej z małymi okienkami już mało co widzieć dozwalały.

Gdy ich do świetlicy wpuszczono, stali długo wprzód, nim oczy ich oswoiły się z mrokiem i coś rozeznac mogli. Na ognisku paliły się dogasające polana.

W głębi, na skórach leżał olbrzymiego wzrostu starzec, z brodą wyrosłą długo, której włosy jak trawa, nie kręcące się, proste spadały mu niemal do kolan. Brwi nawieszone zakrywały mu oczy, głowę miał zupełnie łysą. Trzymał ją właśnie wspartą na kościstej dłoni. Nogi jego spoczywały na czymś czarnym, co się ruszało opieszale. Nierychło Wiesz dostrzegł swojskiego²²⁹ niedźwiedzia, który mrucząc, podścielał się pod pańskie nogi...

Dwie sroki chodziły skacząc po podłodze.

Gdy weszli z wolna, kneź Miłosz się nie ruszył, oczy tylko ku nim skierował, wlepił w nich i czekać się zdawał, by oni poczęli rozmowę. Sroki tymczasem pobiegły w kąt, a niedźwiedź głowę zwróconą ku ścianie odwrócił, ziewnął szeroko i znowu ją na

²²⁸ *dachy* – dziś popr. N.lm: dachami. [przypis edytorski]

²²⁹ *swojski* – tu: oswojony. [przypis edytorski]

dawnym miejscu położył.

W izbie było duszno nieznośnie, a stary kneź trząsał się z zimna.

– Kneziu Miłoszu – odezwał się Wisz powoli – pozdrawiamy was.

– Ktoś ty taki? – zapytał głos ponury i gruby, jakby z głębin wychodzący.

– Kmieć Wisz z sąsiadem Domanem.

Kneź milczał.

– Dozwolicie mówić z sobą?

– Mówić, ze mną – począł ten sam głos dziki. – Ja nie mam nic do ludzi ani oni do mnie! Czego chcecie?

– Rady dobrej – rzekł Wisz.

– Jam jej sobie nie znalazł, drugim też dać nie potrafię, gdzie indziej po to idźcie – odparł kneź.

– Źle się u nas i z nami dzieje – ciągnął stary z wolna, nie zważając na odprawę – wasz i nasz wróg gnębi nas coraz okrutniej.

– Kto?

– Chwostek – rzekł, obelżywego tego nazwiska używając, starzec.

Rozśmiał się dziko leżący Miłosz.

– Mnie on już nie uczyni więcej nic – pozbawił mnie dzieci, gdyby wziął nawet życie... nie dbam o nie. Idźcie sobie szukać indziej rady i pomocy.

– I pomsty nie chcecie? – spytał Wisz. – Wszak ta się wam za

dzieci słusznie należy. Zabity jeden, oślepiiony drugi, nie została wam na starość pociecha żadna, a ma to zostać bezkarnym?

Kneź milczał długo, aż zerwał się gniewny.

– Precz albo na was spuszczę Maruchę! – zawołał. – Chwost was tu nasłał, żebyście mnie za język ciągnęli... psie syny jakieś... Won... stąd!

– Kneziu Miłoszu – odezwał się chłodno Doman – ja jestem syn tego, co wam życie zbawił, a Wisz nigdy nie zdradził nikogo. My kmiecie jesteśmy, nie niewolniki.

Zawarczało coś na łożu tak, że trudno rozeznaczyć było, niedźwiedź czy pan się odzywał – potem sapanie słyszeć się dało i głos jęczący.

– Idźcie po radę, gdzie rozum jest, u mnie go nie ma. We mnie z bólu wyszło wszystko, siłęm stracił, pamięć, nawet do pomsty ochotę. Idźcie, mścijcie się za mnie, a gdy mu serce wydrzecie, przynieście je mnie, pożrę je i umrę... Dawno mi się umrzeć należało, wołam o śmierć, nic więcej! Nic więcej! Moje dzieci, kwiaty moje, syny moje – cóżem ja wart bez nich? Na co mi bez nich życie?

Twarz zakrył rękami obiema i zamilkł. Wiszowi serce się ścisnęło na widok tej boleści, stali niemi. Starzec jęczał. Nierychło podniósł oczy i począł łagodniejszym już głosem.

– Idźcie ode mnie, biedne ludziska, czego wy tu szukać możecie? Ja już nie mam nic! Nic! Niech się świat spali, niech go morze pochłonie, niech ludzie wymrą, mnie już gorzej ni lepiej nie będzie. Kwiaty moje! Syny moje – moje dzieci!

I znowu zanurzył głowę w dłoniach i płakał. Oni stali, nie wiedząc, czy jeszcze czekać mają, czy odstąpić precz, aby go na próżno nie dręczyć. Jęknąwszy silnie, Miłosz się podźwignął i siadł, rękami trzec zaczął twarz i czoło. Klasnął w dłonie. Z bocznej izby uchyliwszy drzwi, wyszła niewiasta tak olbrzymiego wzrostu jak starzec, wychudła i żółta, z głową zawitą chustami tak, iż oczy spod nich zaledwie widać było. Płaszcz ciemny okrywał białe ubranie niewieście. Spojrzała ode drzwi na obcych i zawahała się nieco. Niosła w ręku dzbanuszek i kubek. Stary już palce drżące ku niej i napojowi wyciągał. Milcząc nalała mu i podała. Począł pić chciwie. Dopiero jakby orzeźwiony, popatrzał na Wisza i Domana, a niewiastę skinieniem odprawił.

– Mówcie – rzekł – cóż wy poczynać chcecie? Co? Zwołacie wiec, aby się na nim pokłócić i zwaśnić? Będziecie radzić, jeździć, mruczeć, a on was po jednemu na powrót wyłowi! Zaprosi na ucztę i jednych na drugich poszczuje! Co wy mu zrobicie? Wiece się waszego nie boi, ani was, ani pogroźek waszych.

Rozśmiał się.

– Połowa z was będzie z nim, pół przeciwko niemu! Rozda wasze ziemie tym, co na was mu pomogą! Nic mu nie zrobicie. Gdy ludzi zabraknie, przyjdą w pomoc Niemcy i kraj spustoszą, a krnąbrnych powiodą w niewolę.

I rzucił się znowu na łożo.

– Kneziu – rzekł Wiesz – trudna to sprawa, wiemy o tym, ale

się Chwosta pozbyć musimy.

Zginie z nas wielu, wielu zradzi, padnie dużo, w końcu i jego nie stanie.

Przyszliśmy się spytać, kneziu Miłoszu, jak wiec postanowi na gród, dacie nam swoich ludzi? Będziecie z nami?

Stary milczał długo.

– Nie – rzekł – serce bym mu wyrwał, gdybym mógł sam, gdy wy mu je wyrwiecie, uraduję się, a na niego z wami nie pójdę... To kmieca sprawa... jam kneź! Jam Lech!!

A pamiętajcie o tym, że gdy go zmożecie, on ma dwóch synów za Łabą. Tym się nic nie stanie, ci wrócą z Niemcami i pomszczą się na was... Próżne wasze jęki, próżne. Nie on, to dzieci was zaborą w niewolę; nie on, to ja bym was uczył, co kmieć, a co kneź! Nie byłbym lepszy... – mruczał niezrozumiale.

Wisz spojrzał na Domana.

– Cóż rzec więcej – zawołał. – Wy mu i o tym, coście słyszeli od nas, jutro znać dacie?

Kneź się rozśmiał, a niedźwiedź zamruczał.

– Między nim a mną – nie ma mowy, namowy, ni rozmowy – on mój wróg, ja jego – zawołał Miłosz. Dadzą o tym znać inni, powywiesza was na dębach. Niech wiesz! Nie ma moich dzieci. Synów moich nie ma. Kwiatów moich nie ma. Niech świat ginie!

Jęknął i głowę zanurzył w posłanie – Wisz skinął i wyszli ze świetlicy. Za nimi słyhać było płacze, mruczenie i krzyki dwóch srok, które ośmielone wyjściem obcych, kłócić się zaczęły.

Na podsieniu czekał na nich starzec zgarbiony. Wyszli z nim

razem pod stare dęby w podwórze.

– Tak wasz knież zawsze? – spytał Wisz.

– Ile razy obcych widzi – szepnął stary wzdychając – czasem i po nocach duchy go męczą, że się zrywa i krzyczy głosem wielkim, aż, co żyje na zamku, pobudzi. Biedny człek!... biedny!

Chcieli mimo wieczora opuścić zaraz smutne grodzisko Miłosza, lecz i tu święte prawo gościnności zachowane było. Staruszek zaprosił do izby osobnej, gdzie dla nich postawiono wieczerzę i zgotowano posłanie. Sam on poszedł z nimi, choć z niego słowa się dopytać nie było podobna. Wszystko na tym żałobnym dworze milczące było i przygnębione; zdając się czekać tylko śmierci i – końca.

VIII

Nieopodal od brzegów jeziora Gopła, na skraju lasów, był dwór i zagroda Piastuna, którego też i Piastem przez skrócenie zwano. Do niej dążyli, opuściwszy o brzasku smutne grodzisko Miłoszowe, Wisz stary i młody Doman. Kilka już dni spędził starzec na koniu, a czuł się niemal więcej krzepkim²³⁰, niż gdy doma²³¹ na kamieniu u rzeki siadywał, z dala przypilnowując gospodarstwa.

Ze wszystkich kmieciów okolicy tej Piastun był najmniej zamożnym, a najbardziej poważanym przez braci. Ród jego siedział na jednym miejscu od prastarych czasów, dziad i pradziad gospodarzyli w sąsiednich lasach, głównie pilnując barci²³² leśnych i myślistwa. Mało co pola wydartego²³³ mieli, a te zasiewali tylko, aby im chleba nie zabrakło. Było już w obyczaju ich, aby się zbytnio o dostatki nie troszczyć. Nie rosły też one w ich rękach. Znano tę ubogą, starą chatę naokół z gościnności słowiańskiej, dom stał otworem, wstępował do niego każdy jak do gospody, żywił się i brał w drogę, co mu było potrzeba.

Dwór w zrab zbudowany z całych drzew, mało co ociosanych,

²³⁰ *krzepki* – silny. [przypis edytorski]

²³¹ *doma* – dziś: w domu. [przypis edytorski]

²³² *barć* – naturalne siedlisko pszczół w lesie, zwykle umiejscowione w dziuplach, wydrążonych gałęziach i pniach drzew. [przypis edytorski]

²³³ *pole wydarte* – w domyśle: zarośłom leśnym. [przypis edytorski]

niski był i stary. Dach i ściany jego czerniały od dymu, podsienia były wąskie, słupki w nich z prosta rzezane²³⁴. Sam Piastun, żona jego Rzepica, małe pacholę, synaczek, składały całą rodzinę. Czeladzi było sporo, a i ta niemal do niej się liczyć mogła, bo tak się z nią po staremu obchodzono, jakby do krwi i rodu należała.

Tu jeszcze nowy obyczaj, który się od niemieckich krajów powoli wciskał, wcale był nie zajrzał²³⁵. I dlatego może Piastuna szanowano a radzono się, że pod tą ubogą strzechą przechowywały się skrzętnie dawne podania: o ojców wierze, obyczaju i zwyczaju. Gęślarze i śpiewacy gościli tu często, a gdy który z nich się zjawił, wieczorami siadali kołem wszyscy, zimą około ogniska, lecie koło lip starych w podwórzu i słuchano ich a uczono od nich przeszłości. W obrzędach weselnych, przy postrzyżynach, na pogrzebach, Piastun rej wodził, bo najlepiej wiedział: i jakie pieśni do której chwili przystały, i jaką ofiarę składać, i co gdzie czynić należało. W sądach też, jeśli się w mirze lub na opolu czasu pokoju trafiło zabójstwo, on prawo stare najlepiej wiedział, jak zastosować. A gdy on co rzekł, nie było już się co sprzeczać i sporzyć²³⁶.

Mały ten człęk między bogatymi kmieciami więcej znaczył od najzamożniejszych. Szli z dala do Piastuna ludzie, a gdy go doma nie zastali, bo często w lesie barcie swe podpatrywał,

²³⁴ *rzezany* – tu: rzeźbiony. [przypis edytorski]

²³⁵ *był zajrzał* – daw. czas zaprzeszły, wyrażający czynność wcześniejszą od innej, również dziejącej się lub dokonanej w przeszłości. [przypis edytorski]

²³⁶ *sporzyć* – dziś: spierać, toczyć spory. [przypis edytorski]

czekali nań dzień i dwa, póki nie przyszedł i nie siadł ich słuchać, a miał ten zwyczaj, że mówił niewiele i niełatwo, że wyzywał wprzód na słowa, myślał długo, ale gdy na ostatek, wśród ogólnego milczenia rzekł swoje, tego potem nie odmienił. Ludzie o tym tak dobrze wiedzieli, że gdy ten wyrok zapadł, nie śmieli nic przeciw niemu powiedzieć.

Poszanowanie to dla Piastuna, który, choć w pobliżu grodu mieszkał, nigdy kneziowi nie dworował²³⁷, ani się do niego cisnął, zjednało mu na pańskim dworze nienawiść. Lecz nie tykano go, bo się wpływu jego na innych lękano. Ująć się też nie dawał niczym, a najmniej pochlebstwem, którego nie słuchał nawet. Nazywano go też hardym, a może i był nim w istocie, choć przeciwko małym nigdy się nim nie okazywał.

Mąż był lat naówczas średnich, liczył ich sobie poza czterdzieści, wzrostu niewyniosłego, krzepki i na pozór niczym się nie odznaczający. Tylko w oczy mu spojrzawszy, widzieć w nich było łatwo, że poza nimi rozum mieszkał spokojny a silny. Gdy inni naówczas ludzie dla samego obudzenia strachu zwykli byli gniewać się, miotać i więcej może okazywać złości a gniewu, niż go mieli w istocie, Piastun nie dawał się nikomu przywieść do namiętności. Surowy był, milczący, na oko chłodny i wytrzymały. Znano go jednak z tego, że gdy dla przykładu trzeba było użyć mocy i ukarać, spełniał bezlitośnie, co postanowił. Nosił się jak człek prosty i od parobka go niemal we dnie pracy rozpoznać było trudno; nie lubił błyskotek

²³⁷ *dworować* – tu: zachowywać się służalczo, jak dworak. [przypis edytorski]

i jaskrawych drobnostek, za którymi inni przepadali, a nade wszystko nie znosił, by się co w stroju i domu zmieniało z obyczaju dawnego.

Gdy inni miewali nieraz po kilka żon, bo zwyczaj tego nie bronił, Piastun żył z jedną, a żona u niego nie była w tej niewolniczej podległości trzymana, co u innych. Godzili się też z sobą we wszystkim, tak że lepszego stadła²³⁸ ludzie nie znali.

Pracowano tu od dnia do nocy, a on sam rzadko w domu siadywał, co jeśli się trafiało, znać, że około roli nieopodal dworu coś miał do czynienia.

Gdy nazajutrz z południa zjawili się tu, lasami przedarłszy, nie chcąc być postrzeżeni, Doman i Wisz, znaleźli gospodarza właśnie z kobiałką na plecach, na drodze do lasu i barci. Wstrzymali więc go na drodze, Wisz z konia zsiadł i pozdrowił.

– My do was – rzekł.

– Zawracajmyż do chaty – odparł Piastun.

– Albo lepiej siądźmy gdzie pod drzewy, na uboczu, bo wasz dwór na oczach, ludzi w nim obcych często bywa wiele, a nam trzeba się naradzić po cichu...

Piastun się popatrzył nań zdziwiony, nie sprzeciwiając się jednak, ręką wskazał bliską polankę w lesie, gdzie szopka była na siano, taka jakie dawniej po słowiańskich krajach odrzynami zwano. Stała ona teraz otworem, i chruściane jej ściany półprzezroczyste dozwalały widzieć dokoła, gdyby się kto przybliżał. Wewnątrz para kłód sosnowych u wrót jakby

²³⁸ *stadło* – para małżeńska. [przypis edytorski]

umyślnie leżała, aby na nich przysiąść można.

Konie puszczono na łączkę, aby się pały, siedli pod dachem w odrynie, gdzie spieka nie dokuczała. Piast, nie mówiąc jeszcze słowa, kobiałkę, którą na plecach niósł, odkrył i dobywszy z niej chleb i ser, położył je przed gośćmi, ale ci ich nie tknęli.

Wisz tedy pierwszy mówić począł.

– Siedzicie pod samym grodem i pod bokiem Chwostka – rzekł – wam więc dużo nie trzeba prawić o tym, co się u nas i z nami dzieje... Po tośmy do ciebie przyszli, aby się radzić... Wiec zwołać trzeba...

Strzymał się Wisz, gospodarz słuchał milcząc, Doman gorętszy dodał:

– Jeśli się zawczasu nie poradzi, wybiją nas do szczętu... Musimy się bronić... Dawnym obyczajem nie co innego poczynać, tylko zwołać starszyznę...

Stary wciąż słuchał jeszcze; więc Wisz szeroko mówić począł, jak to dawniej w mirach bywało, a co się dziś działo, i jak z wojskowych dowódców kneziowie na niemiecki sposób panami się czynić chcieli, co cierpiano od rozrodzonych kniaziątek... I jak na to ratunku skorego²³⁹ było potrzeba.

Piastun mu dał mówić, wcale nie przerywając; i on, i Doman, szeroko wszystko wyłuszczyli, nareszcie zamilkli oczekując, co on powie. Piastun myślał, głowę spuszczoną trzymając i odezwał się nareszcie.

– Ja wam coś powiem o prastarych czasach... Słyszeliście

²³⁹ *skory* – szybki. [przypis edytorski]

to od ojców waszych, a ojcowie od ojców swych słyszeli... że nasza mowa ciągnęła się dawniej daleko za Łabę, nad Dunaj; za Dunajem, nad sine morze i na zachód aż do Gór Czarnych. Był to czas szczęśliwy, gdyśmy na niezmiernej przestrzeni byli sami jedni, a sąsiedzi w domu co robić mieli. Chodziliśmy naówczas bez mieczów, z gęslami, rolę uprawiali, w otwartych siedzieli chatach i gospodarzyli w mirach bez wszelkich kneziów... Dawne to czasy... Od morza przypadli jedni, od gór zaczęli napastować drudzy... z orężem w dłoni niewolniczy a karny lud... Musieliśmy się bronić... Skończyło się szczęście nasze, śpiewanie i spokój... Zamorskich wodzów trzeba było wziąć, stołby murować, grodziska stroić i bić się... A stara swoboda zawsze się nam przypominała... kneź nam był wrogiem... i cóż? Ot, plemię nasze wyciskają powoli Niemcowie i wycisnęli je już z sadyb dawnych, i pod nogami nam co dzień ziemi ubywa...

Zamilkł Piastun, a po chwili dodał:

– Kneziów się zbędziemy, a Niemcy nam na kark wleżą...

Wisz się poruszył.

– Nie chcemy się ich zbywać – odrzekł – ale tego Chwosta tylko na innego zamienić... Wiecie dobrze, iż on pierwszy z Niemcami trzyma... ród jego cały serce tam ciągnie... Znajdziemy innego... Dosyć się naszej krwi ulało... Wiecu nam trzeba...

Znowu pomilczał gospodarz.

– Trzeba nam wiecu i trzeba zmiany – rzekł – ale i wiec niełatwy, i zmiana. Ciężką to sprawę poruszacie, jakbyście

gołą rękę w ul wsadzili... Jedni na Chwostka płaczą, drudzy trzymają z nim... Zgody nie będzie, tymczasem Niemiec języka dostanie²⁴⁰ i najedzie wówczas, gdy my się z sobą zajadać będziemy... Wieceu nam trzeba, ale zgodnego a takiego, jakie ongi bywały, gdy za ojców radzono... Zwołajcie wiec...

Poczęli tedy obliczać, o ile we trzech mogli i umieli, kogo za sobą mógł mieć Chwostek, a kogo przeciw sobie i okazało się, że nie mała liczba stanąć mogła po stronie knezia, chociaż okrutnik był i dla nikogo serca nie miał.

Rozmowa cicha przeciągnęła się do wieczora. Szli potem razem do chaty i zasiedli po wtóre przy ognisku. Tu za ledwie chleb rozłamali, gdy mały, krępy człeczyna, z głową krótko ostrzyżoną, z oczyma kocimi, w obcisłej siermiężce, zjawił się w progu. Zobaczywszy go, wnet zamilkli wszyscy; był to znany kneziowski sługa, na nieustannych posyłkach spędzający całe życie. Obawiano się go na grodzie i w okolicy, bo podpatrywał, podpełznąć umiał, podsłuchać i donieść panu, co pochwycił. Oka jego nic nie uszło... Siadywał jak żbik na drzewach, gdy mu trzeba było niewidzianym gdzie być, wszywał się w gałęzie, zakradał do lisich nor, zakopywał w stogach siana, przylegał w wiszarach i trzcinach... Dla małego wzrostu i lichej postaci Znoskiem go zwano. Zjawienie się jego gdziekolwiek bądź, nic nigdy nie wróżyło dobrego. Złośliwa żmija nie wracała nigdy bez łupu na gród, a łupem były oskarżenia, które do ucha Chwostkowi nosił.

²⁴⁰ dostać języka – wypytać się, dowiedzieć się. [przypis edytorski]

Szeroka gęba z zębami białymi śmiała się w progu. Znosek stał i patrzył po izbie. Pozdrowił Piastuna i nic nie mówiąc przysiadł na ławie, przypatrując z wielką uwagą gościom...

Milczenie panowało w izbie, tylko Rzepica, która się około ognia kręciła, a jako niewiasta więcej obawiała Znoska niż Piastun, podała mu kubek piwa... Obrzydły karzeł wziął go dziwnie, popatrzył na gospodarza i gości i po cichu rechotać począł, jakby sam sobie się śmiejąc.

– Matko Rzepico – odezwał się głosem schrypłym Znosek – ty masz lepsze serce od innych. Przynajmniej zlitowaliście się nade mną, nad którym nikt się nie ulituje, którego wszyscy nienawidzą! A co ja winien? Co ja komu winien?... Albo to ja taki zły, jak mówią?... Oczu nikomu nie wyłupiłem... czarów nie rzucam na nikogo... służyć każdemu... słucham wszystkich. Przecie nogami mnie kopią, plują na mnie... i każdy by mnie zgniótł, gdyby mógł...

I śmiał się szkaradny Znosek, popijając z kubka.

– Skądże to wiesz, że ci ludzie tak źle życzą?– zapytał Piast.

– Z oczów im to patrzy! Oho! – mówił karzeł. – Ja mam psi węch, Piastunie.

Pomilczawszy chwilę, począł dalej.

– Wiecie nowinę?

– Cóż tam za nowina? – spytał gospodarz.

– Na grodzie u miłościwego pana gotuje się uczta wielka i radość wielka... Naprzykrzyło się nam wojować i swarzyć... Kneź chce się ze swymi pojednać... Tego, co mu oczy

wyłupiono, puszcza, aby sobie w świat szedł. Kto wie, a może mu oczy odrosną? Stryjów i bratanków zaprosi kneź do stołba i zgodę na wieki zapijemy!...

Słuchali wszyscy w milczeniu.

– Powinniście się cieszyć z tego – mówił Znosek. – Potem wszyscy kneziowie jak się wezmą za ręce, to dopiero ład będzie u nas!... Teraz zbiorą się lada żupankowie i na gród się cisną, a pięściami nam grożą pod nos... bo wiedzą, że knezie z sobą się waśnią... Później już tego nie zobaczymy!

Mrugnął bystro oczyma i roześmiał się. Drudzy milczeli, gdy z podwórza głos się dał słyszeć. Wszyscy zwrócili głowy ku wnijściu. W progu stał człowiek siermięgą czarną odziany, w czapce czarnej, z kijem w rękę, oczyma jakby obłąkanymi patrzył we wnętrze chaty, liczył nimi tych, co w niej byli. Wzrok jego zatrzymał się na Znosku i usta, które już miał otworzyć, zamknęły się. Nie powitawszy nawet nikogo, zawrócił się od progu, odszedł i usiadł na przyzbie.

– Ten mnie tylko zobaczył – rozśmiał się karzeł – i ochota mu od gościny i od mowy odpadła.

To mówiąc dopił piwa, kubek postawił, wstał i stanąwszy pośrodku izby, rzekł, w boki się biorąc.

– Wiesz i Doman! Wiesz i Doman!...

– Znacie mnie? – zapytał stary Wisz.

– Ja?... naokół o dziesięć dni drogi znam wszystkich – rzekł Znosek – nawet psy podwórzowe po imieniu... a jakbym kmieciów znać nie miał?... Tamten, co z progu zszedł, to stary

Ziamba... nieprawdaż? Nawet wiem, z czym przychodzi i co mu gębę zamknęło... Syn jego miał na grodzie przypadek... Szczepili się z Sławojem przy uczcie i pozarzynali... Potemeśmy go puścili na jezioro, żeby się otrzeźwił, ale wody się nadto opił i... zdechł...

To mówiąc roześmiał się Znosek, pokłonił, zawinał, skoczył i znikł.

Po wyjściu jego długo cicho było w chacie, jakby się powrotu obawiano. Ziamba też siedzący na przyzbie nie wchodził; czekał pewnie, aż się niezdara oddali. Po dobrej chwili dopiero pokazał się w progu. Piastun, gdy próg przestąpił, poszedł go przywitać.

– Przyszedłem się wam opowiedzieć z sieroctwem moim – odezwał się stary. – Syna mi na grodzie ubito. Ciałośmy ledwie odzyskali, aby je poczestnie spalić na stosie... Mówcie, bracia dobrzy, ludzie my jesteśmy czy zwierzęta dzikie, które bez pomsty kłuć wolno?...

Ręce założył i stał pogrążony.

– Mam dwóch jeszcze synów – mówił po chwili – choć tych bym chciał całych uchować! Gdzie się z nimi skryć? Jak głowy ich osłonić?... Chwostek na mnie zawzięty...

Wisz, wstawszy z ławy, przybliżył się do niego.

– Bracie – rzekł – czas nam myśleć o sobie... siadź i radź.

Przybył w ten sposób jeszcze jeden do szczupłego gronka, które się na wiec zgadzało²⁴¹.

Do późnej nocy karmili się żalami i szeptali między sobą.

²⁴¹ *zgadzać się* – tu: umawiać się. [przypis edytorski]

Nazajutrz rano Doman i Wisz opuścili zagrodę Piastunową. Chociaż ludzi swoich zostawił stary u sąsiada, nadto mu pilno było powracać do domu, by nakładał dla nich drogi. W lesie rozstali się z Domanem i Wisz znanymi krótszymi przesmykami w puszczy puścił się wprost do swej zagrody. Drugiego dnia nad wieczór był już u wrót, a psy radośnie skomlać witać pana wybiegły. W chacie świeciło jeszcze, stara Jaga drzemiąc z kądzielą siedziała przy łuczywie. Pokłoniła się mężowi do kolan, wedle obyczaju, Wisz na ławie siadł się rozzuwać, pytając o dom i chudobę. Nadszedł zbudzony syn starszy i opowiadał, co się pod niebytność ojca doma robiło i trafiło. Wilk porwał był owcę, a nie zdołano go zabić, choć pastwę mu odebrano. Była to wina pastuszków, którzy się oba pospali.

Stary spokojnie wysłuchał syna, a gdy już chciał odchodzić, dał mu znak, aby się zatrzymał. Jaga z kądzielą wyniosła się do komory.

– Ludek – rzekł Wisz po cichu do syna – postanowiono między nami, aby wici wysłać po mirze i na wiec zwołać starszyznę, na dzień przed Kupałą, w horodyszcze na Żmijowym uroczysku. Ślij ty, jedź sam... Czyń, jak chcesz, dając wolę, ale pośpiechu trzeba.

– Pojadę sam – rzekł syn – wola wasza... kogo mam ślać, komu zawierzyć? Najlepiej sobie.

Lecz głowę spuścił smutnie. Stary popatrzył nań i zadumał się także.

– Co będzie, to będzie, jechać trzeba i zieloną wić nieść od

dworu do dworu.

Krótką, ponurą rozmowę tajemniczą na tym się skończyła.

Nazajutrz, gdy się Wisz przebudził, już syna w domu nie było.

Dni kilka upłynęło bez wieści, a życie zwykłym się trybem ciągnęło; w głębi tych lasów rzadki był gość i przechodzień. Wisz po dniu upalnym spoczywał za zagrodą pod dębami leżąc na ziemi, psy mając przy sobie, gdy jeden z nich podniósłszy się nagle, skoczył w stronę rzeki i wietrzyć coś począł niespokojny. Zwierza albo obcego człowieka pewnie by inaczej witał; zdumiał się stary widząc, jak psisko radośnie ogonem kręciło, jak gdyby znajomego czuło w pobliżu. Nikogo jednak widać jeszcze nie było. Zabiegłszy w łozy, podwórzowy kilka razy szczeknął radośnie, jakby się łasił do kogo. Wisz podniósł się z ziemi, spojrzał i zobaczył ostrożnie gałęzie rozgarniającego tego, kogo się najmniej spodziewał, Sambora. Stał w zaroślach chłopak, jakby zbliżyć się nie śmiejąc, dopiero starego gospodarza ujrawszy, szybko począł podchodzić ku niemu.

Chmurnie brwi ściągawszy, czekał nań Wisz.

– A tyż tu skąd? jak?... jakże wyrwałeś się z grodu? – zawołał, gdy Sambor już mu do nóg przypadał.

– Musiałem, choćby życie wając – rzekł przybyły. – Musiałem przybyć z oznajmieniem... Nie chciałem, aby niespodzianie spadło nieszczęście na dwór wasz...

– Nieszczęście? Co? – zapytał stary.

– Już trzy dni temu, jak kneziowi doniesiono: Wisz objężdża kmieci i na wiec ich zwołuje.

– Kto doniósł?

– Smerda z tym powrócił z łowów – odezwał się Sambor. – Chwostek się uniósł gniewem wielkim, zaklął, że każe wasz dwór w perzynę obrócić, a was, ojczyzny mój, na pierwszym obwiesić drzewie. Na was ma się wyrzucić cała złość jego... Ludziom i koniom kazano się sposobić... Słyszałem, gdy dawano te rozkazy, rzuciłem się co tchu wpław przez jezioro, aby wam oznajmić o tym. Dziś, jutro... każdej chwili tu być mogą.

Wisz stał, nie pokazując po sobie ani strachu, ni zwątpienia, myślał, co ma począć. Dwoje było tylko do wyboru: albo się bronić na zagrodzie, zwoławszy ludzi, którzy na ziemi jego siedzieli, lub z duszami i dobytkiem ciągnąć w lasy. Ostatnie niełatwym było, człowiek sam mógł się ukryć od pogoni, trzody, kędy przeszły, zdradzały się i pójść w ślad za nimi mogła drużyna kneziowska. W lesie, choćby za zasiekami, tak się bronić było ciężko, jak w zagrodzie. Na łaskę Chwostkowi się zdać... śmierć czekała i niewola. Stary nie lękał się o siebie, dawno mu było już tęskno do mogiły, do ojców... obawiał się i troszczył o córki i syny. Milcząc dał znak Samborowi, aby szedł za nim i powlókł się ku zagrodzie. W drodze po kilkakroć stanął i zadumał się opuściwszy głowę.

Doszli do wrót, gdy w nich spotkał się Wisz ze starszym synem, co wici wozził i właśnie z powrotem przybywał. Jego też już na drodze doszła była wieść o tym, co się na grodzie u Gopła przysposabiało, zdał więc wici innemu i do ojca pośpieszył.

Przytomność²⁴² Sambora uwalniała go od przynoszenia złej wieści.

– Dziś tu jeszcze nie będą pewnie – odezwał się stary do swoich. – Jest czas przez noc myśleć, co z sobą czynić i do świtu się przysposobić. Zwołać parobków, zatrzeć na pastuchy... Sambor skoczy po ludzi na Rybaki i Bondarze... Kto oszczep dźwignie, niech przybywa. Żagiew zapaloną miasto wici wziąć... i... żywo.

Zamiast strachu Wisz zdawał się pokrzepiony tą myślą, że jeszcze walczyć będzie i do otwartej stanie bójki. Parobcy i synowie, kto żył, rwali się do broni, biegnąc po osadników.

Niewiasty wszystkie wyszły z szop i chałupy, zawodząc żałośnie, ręce łamiąc i płacząc. Strach je ogarniał. Jęki te Wiszowi serce miękczyły, nakazał milczenie, ucichło wszystko... Dziwa stała na przedzie z Jagą.

– Wy w las z dziećmi! – zawołał stary. – Tu nie jesteście potrzebne. W las ich prowadź, Dziwa. Wróćcie, gdy albo umarłych grzebać, lub pokaleczonych obwiązywać będzie trzeba.

Znikły posłuszne niewiasty.

W całym obejściu ruch powstał ogromny. Stary sam przewodził.

W chacie Dziwa, najprzytomniejsza ze wszystkich, resztą niewiast rozrządzała, żywność zbierano, gotując się do drogi.

W tę stronę, od której napaść musiała przybywać,

²⁴² *przytomność* (daw.) – obecność. [przypis edytorski]

wyprowadzono małego chłopca na podjezdku²⁴³, aby dawał znać przodem, gdy o drużynie kneziowskiej zasłyszysz.

Noc wśród tych przygotowań nadchodziła szybko, a nawet do ziemi ucho przyłożywszy, najmniejszego tętentu słyszeć nie było. Tymczasem spodziewano się ludzi z Rybaków i osad na posiłek.

Dziwa z całym obozem niewieścim, z dziećmi i sługami, gotową była w las ruszyć na pierwsze skinienie i wieść o niebezpieczeństwie.

Nikt tej nocy o śnie nie pomyślał, psy były niespokojne. Na próżno starano się je uciszyć, przypadały na chwilę i wnet na nowo żałobne to zawodzenie, które za złą wróżbę uważano, rozpoczynały.

Nad rankiem gromadka parobków ściągnęła z osad nad rzeką i z lasu lud zdziczały i nędzny, niewyglądający wojowniczo.

Dzień robić się zaczynał, gdy chłopak wysłany na czaty, konia co tchu pędząc, nadbiegł, wołając:

– Jada! Jada!

Zsunąwszy się z konia padł dysząc na ziemię. W zagrodzie ruszyło się wszystko, stary swoich ludzi rozstawił tak, aby ich widać nie było, ani przygotowań do obrony.

Chata widziana z dala przybrała pozór swój codzienny, ale parobcy ukryci za tynami, po szopach, na ziemi leżący, gotowi byli skoczyć na pierwsze pana skinienie.

Stary, żadnej broni nie wzięwszy, bosy, w koszuli i na ramiona

²⁴³ *podjezdek* – młody, dopiero ujeżdżany koń. [przypis edytorski]

tylko narzuconej siermiędze, z odkrytą głową u wrót stanął.

Z dala już coś tętnić zaczynało, rozeznać było można jadącą liczną konną gromadę, a wkrótce głosy, śmiechy jej i nawoływania.

Około zagrody cisza panowała, bocian tylko klekotał na gnieździe gospodarząc, jakby i on chciał oznajmić o jakimś niebezpieczeństwie.

Nagle z zarośli ukazała się czapka smerdy i dzidy kilku jezdnych... tuż za nim. Spodziewali się znać zastać zagrodę nieprzygotowaną i byli bardzo wesołej myśli.

IX

Smerda z dala już starca zobaczył, odwrócił się do swoich, dał im znak, drużyna się rozstała, rozbiegła i poczęła zagrodę otaczać ze wszech stron, jakby się obawiała, aby z niej się kto ucieczką nie ratował.

Dowodzący *samoczwart*²⁴⁴ podjechał bliżej, bezpiecznie, nie spodziewając się wcale, by tu nań oczekiwano... Sambora ucieczka nie została dostrzeżona.

Wisz ciągle stał we wrotach z głową podniesioną, oczekując bez trwogi zaczepki. Zdawał się bezbronnym, co smerdę też ośmielało.

Drwiąco począł się uśmiechać kneziowski sługa, patrząc na niego.

– A ja znowu do was w gości! – zawołał z dala. – Toście mi być powinni radzi...

– Jam zawsze gościom rad – odparł Wisz spokojnie.

– Kneź wam pokłon śle i do siebie prosi, na koźle udo, na miodu czaszę, na drużbę²⁴⁵ i rozmowę – szyderczo ciągnął dalej smerda. – A żeby prędzej was mieć, aż mnie po was przysyła...

Wisz zmilczał trochę.

– Nie byłbym od tego, aby mu się pokłonić – rzekł z wolna

²⁴⁴ *samoczwart* – sam z trzema towarzyszami (razem we czterech). [przypis edytorski]

²⁴⁵ *drużba* – przyjaźń. [przypis edytorski]

– alem ja stary, a on młodszy. Ja pan u siebie, on na grodzie... Jeśli co do mnie ma, posłów znajdzie...

Smerda konno podejżdżając coraz bliżej, mruczał.

– Milcz, ty stary zuchwalcze! Ty niepoczciwy, nieposłuszny – zakrzyczał nagle. – Ja tu na ciebie sąd wiozę i powrozy! Tyś to wiece śmiał zwoływać!

– Ano... ja! – rzekł Wisz spokojnie. – Ja... Każdy z nas starszyzn po mirach ma do tego prawo. Tak z wieków bywało i tak będzie, póki nas stanie.

– Nauczymy my was wieców – zawrzeszczał smerda i stanąwszy tuż przy starcu, ręką się zamierzył na niego. Stary z wolna ustąpił.

– Jedliście chleb pod moim dachem – rzekł – nie życzę wam zła... ustąpcie, proszę, precz... i powiedzcie kneziowi, że wiec się zbierze, choćby mnie między żywymi nie było.

Domawiał tych wyrazów, gdy smerda na swoich zakrzyknął i gromadą całą rzucili się na nieustraszonego starca, który teraz dopiero miecza dobył spod poły. Zza płotów, tynów, ścian, wszystek jego lud, synowie, czeladź, wyrwała się z ogromnym wrzaskiem, napinając łuki i zamachując procami. Ale Wisz ten zapęd skinieniem ręki powstrzymał.

Kneziowscy ludzie, niespodzianym ukazaniem się obrońców trochę przerażeni, w tył się cofnęli.

– Będziemy się bronili! – zawołał stary. – Idźcie, jeśli nie chcecie, aby się tu krew połała... A tobie – rzekł zwracając się z gniewem do smerdy – tobież to przystało napadać na swoich

i służyć obcym!... Ty, niewolniku podły!

Smerdzie twarz cała krwią zapłoneła, targnął się i swoich, co stali opodal, zaczął bezcześcić.

– Bij a morduj! – krzyknął.

Strzały poleciały z obu stron.

Parobcy Wiszowi, którym pilno było wziąć się za bary z napastnikami, poczęli się cisnąć i przec do wrót, do których z drugiej smerda się dobijał ze swoimi.

Stary Wisz pozostał w pośrodku tej kupy, cofnąć się nie mogąc. Płot i wrota trzeszczały od nacisku, łamiąc się kawałami.

Starszy syn gospodarza, Ludek, zasłaniając ojca, ciął po łbie smerdę i czapkę mu rozplatawszy głowę rozkrwawił, ale razem prawie dzida, którą kneziowski sługa w rękę trzymał, utkwiała w piersi starego Wisza... koszula jego zaczerwieniła się krwią, która buchnęła z rany. Stary ręką drżącą pochwycił pocisk, tkwiący już w nim i zdruzgotał go jeszcze... ale żeleźce i kawał drzewa zostało w ranie. Wisz poślonił się z krzykiem i padł na rękę syna.

Na widok trupa tego, gdyż stary z jękiem wyzionął ducha, wszystko, co żyło, rzuciło się jak wściekłe na ludzi grodowych. Walka rozpoczęła się, nie na łuki i proce, ale na pięści i zęby, chwyтали się za barki i walili o ziemię.

Z tyłów wdarli się na ten hałas ci, co zagrodę obstawiać mieli, i wmieszali się niespodzianie, popłoch rzucając chwilowy na gromadkę obrońców.

Trwoga trwała tylko chwilę, zwrócili się stojący w podwórzu

ku napastnikom i zwarli, drudzy u wrót z zaciętością walcząc na swoich śmieciach, odpierali kupkę smerdowych ludzi. Widok leżących na ziemi we krwi zwłok starego Wisza zajądłość powiększał.

Liczba z obu stron prawie równą była... Za starca, który padł, kilku smerdzie zabito, sam on ranny, gdy mu oczy krwią zapływały, ustąpić musiał i począł wołać na swoich, aby się cofali.

Co pozostało grodowych pachołków, wyparło się z podwórza kupiąc²⁴⁶ około dowódcy i z nim razem ustępując ku brzegowi rzeki. Wiszowi²⁴⁷ dali im odejść, zostając przy obronionej zagrodzie, ścigając ich tylko łajaniem i krzykami.

Obie strony dosyć miały tej walki krwawej.

Znad brzegu rzeczki podnosiły się tylko głosy i wrzawa, której od wrót odpowiadano.

– Psie syny! Niewolniki! Raby!

– Gady! Żmije!...

Podobnymi wyrazy ciskano na siebie z obu stron długo, grożąc z jednej pięściami, z drugiej oszczepy podnosząc w górę.

– Chodźcie tu! – wołali jedni.

– Zbliżcie się – odpowiadali drudzy.

Tymczasem w krzakach nad rzeką smerdzie obmywano i obwiązywano głowę, a synowie ciało ojca podniósłszy, nieśli je złożyć w izbie pośłaniu... nieśli i płakali a krzyczeli...

²⁴⁶ *kupić się* – skupiać się, gromadzić się. [przypis edytorski]

²⁴⁷ *Wiszowi* – ludzie Wisza. [przypis edytorski]

Nikt walki na nowo rozpoczynać nie myślał. Głosy ucichały powoli.

Widocznym było, że smerda ze swoimi ustąpi i zaniecha dalszej napaści. W istocie smerdzie dostatecznym się zdawało, że winowajca zginął, a ani on, ani ludzie jego nie chcieli życia stawieć²⁴⁸, nie czując się silniejszymi.

Pokładli się tylko nieopodal od wrót obozem z końmi i pozostali, grożąc, do wieczora. Musiano też naprzeciw nich straż postawić, aby się nocą niespodzianie nie rzucili, bo im jeszcze nie dowierzano. Gdy mrok zapadł zupełny, ucichło nad rzeczką, jak gdyby po walce się wylegiwali.

Chłopak na brzuchu podpełznąwszy, dojrzał dopiero nierychło, że korzystając z ciemności, kneziowscy ludzie w bród przebyli wodę i drugim brzegiem znać nazad po cichu odciągnęli do grodu.

Rozstawiwszy więc czaty, mogli już wszyscy spocząć. Drogo to był kupiony odpoczynek.

W świetlicy na postaniu swym leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos jego odpowiadzano, nim nadeszły żona,

²⁴⁸ *stawić* – tu: postawić, zaryzykować. [przypis edytorski]

córki, synowe, sługi i wnuki, noc już była w połowie.

Wśród ciszy lasów, z dala ten pochód żałobny słysząc było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamany, z zamkniętymi powieki²⁴⁹. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejął smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali. Otworzyły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się jak pijany rozpacz, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucano pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgłiszczą dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie

²⁴⁹ powieki – dziś popr. forma N.lm: powiekami. [przypis edytorski]

chciano długo trzymać niespalonym, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.